

Polsko-Rosyjski Okrągły Stół

Igor Klamkin:

Nasze spotkanie zostało zorganizowane z inicjatywy Stefana Bratkowskiego, znanego polskiego dziennikarza i działacza społecznego oraz kierowanej przez niego Fundacji Centrum Prasowe dla Krajów Europy Środkowo-Wschodniej. Pan Stefan tłumaczył to tym, iż wśród polskiej inteligencji, wśród polskich intelektualistów istnieje potrzeba dialogu ze stroną rosyjską. Z wielką chęcią odpowiedzieliśmy się na tą propozycję, bo z naszej strony takie zapotrzebowanie jest chyba nawet jeszcze większe.

Stefan Bratkowski zaproponował też temat: rola inteligencji w budowaniu społeczeństwa obywatelskiego. Przyjęliśmy tę propozycję z prostego powodu: prawie dwadzieścia lat po upadku muru berlińskiego zagadnienie roli inteligencji i intelektualistów jest w Rosji jest tak samo palące jak na przełomie lat 80., tyle że dziś, jeśli nie brać pod uwagę tego, że w odróżnieniu od sytuacji sprzed dwudziestu lat możemy się spotkać i porozmawiać na temat tej inteligencji – działamy w sytuacji nawet gorszej i trudniejszej, niż wówczas, choćby ze względu na podziały, jakie występują w obozie liberalnym.

Najpierw chcielibyśmy jednak porozmawiać o sytuacji sprzed dziewiętnastu- dwudziestu lat. Chodzi o to, że doświadczenie polskiej inteligencji i polskich intelektualistów jest dla nas nadzwyczaj pouczające, ponieważ im się udało zrobić to, co chcieli, a tutaj - nie. W Polsce, (pomimo wszystkich trudności), udało się oddzielić własności od władzy i stworzyć konkurencyjny system polityczny, podczas gdy Rosja pozostaje tu daleko w tyle. To znaczy, że w Polsce utrzymała się demokracja i w tym sensie polscy intelektualiści wypełnili swoją historyczną rolę. A w Rosji się to nie udało - mimo, że przebieg wydarzeń był bardzo podobny.

Na początku lat 80-tych Polacy przeżyli okres zafascynowania ideą „socjalizmu z ludzką twarzą”. Potem z niej zrezygnowali. Mieliśmy to samo w czasach pierestrojki. Tam był Balcerowicz, tutaj - Gajdar. Obaj pracowali nad podobnymi programami, ale skutki są inne. I to przede wszystkim trzeba byłoby wyjaśnić... Za to zresztą nasza inteligencja jest często krytykowana. Zarzuca się jej, że tak samo, jak 100 lat temu, inteligencja jedynie dużo mówi, ale nie ma żadnego pojęcia, co zrobić, gdy się załame kolejny wariant samodzierżawia. Pytanie jednak, czy tak jest rzeczywiście? Po drugie – gdyby odpowiedź na pierwsze pytanie była twierdząca - warto się zastanowić, w jakiej mierze to jest uwarunkowane historycznymi tradycjami Rosji, zachowaniem polityków, stanem społeczeństwa. Rozumiem, że jest bardzo trudno rozpatrzyć rolę inteligencji niezależnie od innych czynników, niemniej jednak spróbujemy to zrobić. Bardzo liczę na to, że polscy koledzy stworzą takie tło, na którym będzie nam łatwiej zrozumieć nasze własne problemy.

Adam Michnik:

Po raz pierwszy przyjechałem do Moskwy w 1989 roku. Pamiętam, że ktoś z agencji „Nowosti” podarował mi książkę pod tytułem „Klęska operacji „Polonia”. I w tamtej książce przeczytałem o sobie, że Adam Michnik jest „centrum polskiej kontrrewolucji”. Pomyślałem wtedy, że nigdy w życiu nikt nie zrobił mi tak eleganckiego komplementu.

W swoim czasie Józef Wissarionowicz Stalin nazywał inteligentów „inżynierami ludzkich dusz”. Z jednej strony byli oni obiektem represji i to bardzo okrutnych, ale jednocześnie władza ich kokietowała.

W Polsce modelem był „oczywiście“ Związek Radziecki. Wystarczyło jednak, że system stalinowskiego terroru zaczął się kruszyć, kiedy na scenie zaczęli pojawiać się intelektualiści i jako pierwsi zaczęli głośno mówić to, co wcześniej, w warunkach terroru, było nie do pomyślenia. Rok 1956 i tak zwany „polski październik”, był echem destalinizacji Związku Radzieckiego, szczególnie po referacie Chruszczowa na XX zjeździe, ale to właśnie wówczas nasi intelektualiści zaczęli wywierać silną presję na władze. Co przy tym istotne, w znacznej części byli to zbuntowani komuniści. To bardzo ważne, żeby zrozumieć, że w Polsce ten bunt zaczął się od wewnątrz. To byli ludzie, którzy krytykując to, co się działo, jednocześnie zwracali się do ideału socjalizmu, który da się kochać, do socjalizmu demokratycznego, z ludzką twarzą.

Byli jednak nie tylko komuniści. Rezultatem 1956 roku było również pojawienie się na oficjalnej scenie drugiego rodzaju intelektualistów, a mianowicie katolików. Kościół katolicki w Polsce po 1956 roku stał się w istocie państwem w państwie. To była suwerenna w istocie struktura w niesuwerennym państwie. I właśnie dzięki temu, że Kościół miał taką siłę, pojawiło się też miejsce dla tych kręgów, które bym teraz nazwał liberalnymi katolikami. W 1957 roku reaktywował się katolicki miesięcznik „Znak”, wydawany w Krakowie przez Społeczny Instytut Wydawniczy „Znak”. W następnym roku w Warszawie ukazał się pierwszy numer katolickiego miesięcznika „Więź”. I jednocześnie, w 1956 roku, w Warszawie powstała nowa formacja - Klub Inteligencji Katolickiej.

To wszystko miało bardzo duże znaczenie, ponieważ ci ludzie później odegrali bardzo ważną rolę w kształtowaniu opozycji demokratycznej. Okres pomiędzy 1956 a 1968 rokiem to czas permanentnej walki władzy, która wprowadzie coraz mocniej zaciskała obręcz, ale to już nie była dyktatura typu stalinowskiego. Do tego pojawiło się nowe pokolenie – to moje: pierwsze, które nie żyło już w strachu, nie pamiętało ani wojny, ani terroru stalinowskiego. Kształtowaliśmy się już po 1956 roku. W związku z tym to zainfekowanie strachem było dla nas czymś zupełnie obcym.

Wreszcie, trzeci bardzo ważny czynnik - emigracja. Mieliśmy możliwość czytać miesięcznik „Kultura” wydawany w Paryżu albo słuchać radia „Wolna Europa”. Emigracja stanowiła istotny element składowy dyskusji o tym, jak żyć.

Po 1968 roku w Polsce praktycznie nie było już ludzi, którzy chcieli by reformować komunizm, którzy wierzyliby w dobry socjalizm. W Polsce po 1968 roku publiczna dyskusja toczyła się już na inne tematy. Dyskutowaliśmy, w jaki sposób się bronić przed komunizmem, w jaki sposób tworzyć własne obszary, gdzie moglibyśmy mówić własnym głosem, który by nie mógł być powstrzymany przez cenzurę, strach lub rozkaz administracji. Teraz ci ludzie stają się dla władzy przeszkodą, barierą. Ci, których wcześniej kokietowano i próbowano przyciągnąć na swoją stronę, nagle zaczynają mówić własnym głosem. Oni już nie chcą być tubą władzy. I jeśli w latach 40-tych wybitni pisarze i naukowcy otwarcie, ideowo angażowali się po stronie władzy, to po 1968 roku ludzie otwarcie występujący po stronie władzy byli już bardzo nietolerancyjnie przyjmowani przez opinię publiczną. Funkcjonowała wówczas nowa strategia, że nie jestem po stronie władzy, ale jednocześnie wykonuję to, czego ona ode mnie wymaga, w taki sposób, że niezależna opinia publiczna jest ze mnie zadowolona. Na przykład: pracuję w wydawnictwie i wiem, że powinienem wydawać tyle a tyle radzieckich książek. Więc wydaję, tyle że Trifonowa, Okudźawę, Wadimowa, Wojnowicza, Aksjonowa – pisarzy, którzy niby są radzieccy, ale tylko dlatego, że tam mieszkają, bo duchowo są już niezależni.

W Polsce zaczynają się kształtować nowi intelektualiści, ludzie, którzy mają przywilej by mówić i którzy w określonych momentach stają się głosem społeczeństwa, któremu zakneblowano usta.

Przedstawiam tu tylko pewien schemat, ale to ważny schemat. Pokazuje on siłę intelektualistów, kiedy ich zachowanie prowokuje władzę. W jakim normalnym kraju – na przykład - byłoby możliwe, żeby list trzydziestu czterech niepokornych pisarzy i naukowców wywołał skandal na poziomie Biura Politycznego? - A w Polsce tak było. Władza nie wiedziała, co z tym fantem zrobić, i w związku z tym pozwalała na rzeczy, które kiedyś były nie do pomyślenia.

Ten krąg rzeczy dozwolonych stale się poszerzał i stopniowo powstawała swego rodzaju szara strefa pomiędzy Kodeksem Karnym a nożycami cenzury. Do Polski dochodziły na przykład wiadomości z Rosji o istnieniu „samizdatu“. Wtedy to było bardzo ważne i w moim środowisku było nam nawet wstyd, że w Rosji jest coś takiego, a u nas nie. Że to jest wstyd - wskazywali nam emigranci z paryskiej „Kultury. Pamiętam, jak Jerzy Giedroyc, redaktor naczelny „Kultury“, mówił mi: „jak to jest, że dostaję maszynopisy z Rosji (to byli Terc i Arżak, to znaczy Siniawskij i Daniel), a z Polski nie ma nic“. I to działało na nas pobudzająco. Do Warszawy przyjeżdżał Okudźawa i mówił o „samizdacie“, jak o czymś oczywistym. W ten sposób zobaczyliśmy, że obok prasy oficjalnej, katolickiej i emigracyjnej istnieje jeszcze jedna nisza, jeszcze jedno miejsce, gdzie można coś robić.

Lata 70 okazały się bardzo ważnym etapem dla Polski, dlatego że już w grudniu 1970 roku w miastach Wybrzeża (głównie w Gdyni, Gdańsku i Szczecinie) doszło do buntu robotniczego, wskutek czego Gomułka był zmuszony do dymisji. I w ten sposób pojawia się jakby inna historia Polski. Nie ta, którą pisali komuniści, a ta którą pisze społeczeństwo – historia buntów, oporu i protestów.

Na tej fali u nas pojawiły się nowe zjawiska kulturowe. Powstał młody teatr studencki, który mówił bez cenzury, swoim własnym językiem. Pomiędzy widownią a aktorami istniało coś w rodzaju milczącego porozumienia. Pojawiło się też nowe kino „moralnego niepokoju“, które nie miało nic wspólnego z oficjalną ideologią i całą plejada młodych reżyserów: Krzysztof Zanussi, Agnieszka Holland, Krzysztof Kieślowski, Tomasz Żygadło, Feliks Falk. No i nowa fala w poezji, wspaniali pisarze mojego pokolenia: Zagajewski, Barańczak, Krynicki. Krótko mówiąc w kulturze powstaje cały obszar absolutnie niekontrolowany przez oficjalną propagandę. Było to siłą inteligencji, ale i jej słabością. Ponieważ z jednej strony wiedzieliśmy, jak stworzyć takie wyspy alternatywnego społeczeństwa, ale przed władzą byliśmy bezsilni - w tym sensie, że nie mogliśmy jej do niczego zmusić.

W marcu 1968 roku w Polsce doszło do „pogromu“ inteligencji. Pod antysemitycznymi hasłami została „zakatowana“ cała polska tradycja demokratyczna. W 1970 roku, kiedy sprawa dojrzała do buntu robotniczego na Wybrzeżu, inteligencja nie zareagowała. Złamano jej kręgosłup i trzeba było kilku lat, żeby inteligencja w jakiś sposób ożywiła się i pozbyła się urazu po marcowym pogromie. Kiedy więc w 1976 roku pod Warszawą, w Radomiu i Ursusie, wybuchły kolejne bunty robotnicze, z inteligenckiego środowiska wyłonił się nowy projekt: powstał Komitet Obrony Robotników.

To był przełomowy moment. Nie dlatego że ten Komitet był aż tak ważny, ale dlatego, że stał się sygnałem i symbolem. Co mogło zrobić trzydzieści kilka osób? - Ale to było natychmiast podchwyczone przez Wolną Europę i stworzyło dla ludzi możliwość innej identyfikacji.

Na to wszystko nakłada się październik 1978 roku, kiedy wszyscy usłyszeliśmy w radio, że polski intelektualista, aktor, ksiądz i były robotnik (bo w czasach wojny on pracował jako robotnik) został papieżem. To był punkt zwrotny, ponieważ po tym wydarzeniu można już było legalnie i otwarcie identyfikować się z inną Polską, z inną formą polskości. Cały ten szantaż patriotyczny, z którego korzystali komuniści jednocześnie umiejętnie grając antyniemiecką kartą, przestał działać. U nas była własna Polska i naszym polskim przywódcą został Jan Paweł

II – intelektualista, katolik, Polak. Według jednej z legend Piotr Skrzynecki, kierownik artystyczny krakowskiego kabaretu „Piwnica pod Baranami”, w ten dzień wyszedł na krakowski rynek i w stanie wskazującym na duże spożycie alkoholu wygłosił: „Nareszcie polski robotnik do czegoś doszedł!” Natomiast władzę ogarnął strach i nie wiedziała, co z tym zrobić. Nigdy bowiem takiego czegoś nie było: papież Polak.

I jeśli zebrać wszystkie te elementy razem, to można zrozumieć, co się stało w sierpniu 1980 roku, kiedy doszło do strajków w stoczniach. Byli tam już ludzie z Komitetu Obrony Robotników. Do stoczni przyjeżdżają profesorowi, którzy zazwyczaj byli związani z Klubem inteligencji katolickiej. Strajk obejmuje całą Polskę. I rodzi się coś fenomenalnego. Związki zawodowe stają się niezależne od władzy, niezależne od partii komunistycznej. Jeśli strajkujący robotnicy żądają złagodzenia lub całkowitego zniesienia cenzury, to znaczy walczą o prawa intelektualistów, a jeśli na bramach stoczni wywiesza się zdjęcie papieża Jana Pawła II i elementem protestu staje się msza w czasie strajku, to oznacza to absolutną delegitymizację komunizmu w Polsce. Władza przez całe lata wmawiała nam, że inteligenci muszą siedzieć cicho, bo tu rządzi proletariąt, dyktatura proletariatu. A okazało się, że nie, że proletariąt mówi własnym językiem i ten język nie ma nic wspólnego z językiem władzy - z komunistycznym głosem.

13 grudnia 1981 r generał Jaruzelski wprowadza w Polsce stan wojenny. Od tego dnia do 1989 roku w Polsce istniały właściwie dwa narody: PRL i RP (?). Był oficjalny naród, który miał swoje urzędy i instytucje. I drugi naród, ten od „Solidarności”, który w ogóle z tym pierwszym nie miał żadnych kontaktów. Dwie zupełnie różne zbiorowe pamięci, różne systemy wartości, różne ideały, style życia i sposoby bytu. I znów inteligencja odegrała tu bardzo dużą rolę. Większa jej część w ten lub inny sposób angażowała się w to nieoficjalne życie.

Tak dochodzimy do 1989 roku. I to jest bardzo ważne. W podziemiu wychodziły książki rosyjskich pisarzy. Podziemie było antyradzieckie, ale nie antyrosyjskie, nie nacjonalistyczne. W podziemiu czytaliśmy Amalrika, Bukowskiego, Wojnowicza. Nie mówiąc już o Sacharowie i Sołżenicynie, bo to rozumie się samo przez siebie. Obecny na tej sali Jerzy Pomianowski, świetny krytyk literacki, pisarz i wielki ambasador rosyjskiej literatury w Polsce, mieszkając we Włoszech przetłumaczył dwie bardzo ważne książki Sołżenicyna, a my powielaliśmy te tłumaczenia w podziemiu. Wydawaliśmy Czechów: Kunderę, Havla, Hrabala. W podziemiu wydawaliśmy Węgrów. To była kultura niezależna. Żaden szanujący się inteligentny człowiek nie mógł obejść się bez literatury z wydawnictw tak zwanego drugiego obiegu. W każdym razie, żeby ciągle czuć się inteligentnym człowiekiem, trzeba było uczestniczyć w tym życiu. Nie było innego wyboru.

I teraz 1989 rok. Wielki historyczny sukces. Komuniści przegrali wybory, a my wygraliśmy. Zaczyna się proces transformacji, pierestrojki. W tym momencie pękł cały stary system. Z punktu widzenia inteligenta zdarzył się cud – nagle otrzymaliśmy wolność, cenzura zniknęła, mogliśmy jechać tam, gdzie chcemy, mówić i pisać wszystko, co chcemy. Racjonalna analiza kazała popierać reformy Balcerowicza. Ale jednocześnie dochodzi do załamania się etosu Solidarności, bo etos ten był zbudowany na filozofii. Balcerowicz uruchomił lawinę konkurencji. Ktoś musiał wygrać, a ktoś – przegrać. A przegrała przede wszystkim ta część klasy robotniczej, która była zatrudniona w dużych zakładach, które trzeba było modernizować. Wyobraźmy sobie taki zakład produkujący popiersia Lenina. Ci ludzie dobrze pracowali. Oni nawet otrzymywali nagrody i premie za wnioski racjonalizatorskie. Dlaczego? Dlatego że był rynek, gdzie to wszystko się sprzedawało. Każdy sekretarz partii powinien był mieć na biurku popiersie Lenina. I nagle popyt na nie znika. I jeśli ta fabryka nie da rady w jakiś sposób się zmodernizować (na przykład zacząć produkować popiersia Jana Pawła II), to będzie skazana na bankructwo. Ale ci robotnicy mówią teraz: „Oto, co nam ugotowali inteligenci, chociaż to

właśnie my strajkowaliśmy i my wygraliśmy z władzą. Byliśmy jedynymi ludźmi, których ta władza się bała. Musieli ustępować, a teraz to oni jeżdżą do Paryża, zostają prezydentami i ministrami, a my jesteśmy skazani na bezrobocie”. To oczywiście przybliżony schemat, ale tak mniej więcej to wyglądało.

Cóż więc dzieje się teraz z inteligencją? - Inteligenci to taka kategoria, dla której polityka jest moralnym wyborem, zaprzeczeniem kłamstwa i despotyzmu. Ale w jakimś momencie polityka z moralnego wyboru zamienia się w zawód. I okazuje się, że ludzie wybrani do parlamentu nie zawsze wyróżniają się szlachetnością, ale za to umieją lepiej niż inni mówić w telewizji albo mają więcej pieniędzy na plakat wyborczy. I nagle inteligencja czuje się zdegradowana, a jednocześnie zaczyna przeszkadzać nowej władzy. W sferę kultury wkracza rynek. I jeśli przy komunizmie były problemy z cenzurą, to teraz z jednej strony pojawił się problem kakofonii, potoku informacji, w którym trzeba umieć odróżnić to, co rzeczywiście wartościowe od tego, co można nazwać intelektualnym zerem. Ale z drugiej strony pojawia się rynek i dyktat pieniędzy. I żeby wydać po polsku Emanuela Kanta trzeba mieć specjalne pieniądze, bo Kanta nie da się sprzedać tak samo, jak na przykład Conan Doyle 'a albo Simenona. Nie będzie takiej sprzedaży. Inteligencja znów więc znalazła się w sytuacji kompletnej frustracji. Przy komunizmie było wspaniałe czeskie kino, na które wszyscy z przyjemnością chodzili. Ale czeskiego kina już nie ma, bo nie ma pieniędzy. Jeśli popatrzeć dziś na osiągnięcia sprzed ostatnich dwudziestu lat w polskiej kulturze, to zobaczymy, że nie jest pięknie, nie ma tak wybitnych dzieł, jakie mieliśmy w epoce komunizmu: Gombrowicz, Miłosz, Kułakowski. Jeśli dziś pojawiają się świetne dzieła, to na ogół są to dzieła artystów ukształtowanych w epoce komunizmu.

I na zakończenie - co z tego wszystkiego wynika? - gdybym musiał określić główny dylemat, przed którym teraz stają kraje postkomunistyczne, to powiedziałbym, że jest to wybór pomiędzy putinizmem a berluskonizmem. Albo Putin, albo Berlusconi – taki mamy wybór. I celem inteligencji, intelektualistów jest udowodnienie swoimi pomysłami, swoimi utworami, swoją pracą, że nie jesteśmy skazani na taki wybór, że można stworzyć taki projekt myślowy, który będzie sprzeczny zarówno z putinizmem, jak i z berluskonizmem.

W Polsce przez dwa lata mieliśmy władzę, która w moim przekonaniu była odpowiednikiem tego projektu państwa, który teraz realizuje Władimir Władimirowicz Putin. Hasła były inne: rusofobia, germanofobia, dziki antykomunizm, ale projekt był dokładnie taki sam. I w pewnym momencie właśnie inteligencja zaczęła protestować przeciwko projektowi lustracji, bo w taki sposób było bardzo łatwo terroryzować inteligencję. I inteligencja była pierwszą, która powiedziała „nie”. Uniwersytety, dziennikarze powiedzieli: „Nie, odmawiamy posłuszeństwa, nie będziemy się poddawać”. I od tego zaczęła się klęska braci Kaczyńskich. Okazało się, że nie jesteśmy skazani na putinizm, że z putinizmem da się walczyć. To może być bardzo efektywnym sposobem na taką władzę, ale to wymaga cierpliwości, a cierpliwość – niestety - nigdy nie była zaletą inteligencji.

Ewgenij Jasin:

Dziękuję bardzo. Teraz słuchając Adama pomyślałem o tym, że inteligencja w ostatecznym wyniku jest producentem kultury. I z tego co pamiętam u jednego z socjologów znalazłem określenie kultury, jako kreowanie wzorów. Może inteligencja rzeczywiście powinna kreować wzory. Dlaczego o tym mówię? Dlatego, że w ostatecznym wyniku jeśli ruch, na którego czele stoi inteligencja, ruch czysto intelektualny, twórczy doprowadza do zmian politycznych, to później w rezultacie wychodzi najczęściej nie ten wzór, do którego dążył, ale coś innego, w mniejszym lub większym stopniu różniącego się od początkowego myślowego wzoru. Ale to trzeba przyjąć jako realnie istniejący fakt i opierać się na tym, że za każdym razem trzeba będzie

zmieniać podejście. To, o czym mówił Adam jest naprawdę ciekawe. To zdumiewające, jak bardzo były podobne do siebie sytuacje w naszych krajach zanim padł komunizm i jak bardzo one zaczęły się różnić później..

Sergiej Kowalow:

Zacznę od płowy lat 1980-tych. Aby opisać tamtą epokę trzeba zrozumieć logikę odgórną transformacji, na którą zdecydowano się najpierw w Związku Radzieckim, a potem w Rosji. Jestem przekonany, że architekci pierestrojki nawet nie zamierzali reformować kraju. Oni nie mieli wtedy do tego głowy. Chcieli zreformować partię, zrobić z Partii Komunistycznej coś bardziej ludzkiego; chcieli ją zdynamizować, aby mogła sprostać nowym wyzwaniom, aby nie wyglądała jak zgromadzenie starców, którzy o niczym nie wiedzą i nic nie potrafią, za wyjątkiem knucia intryg w komitecie obwodowym i kadrowych machinacji.

Przytoczę jeden z wielu przykładów. W 1987 roku, u szczytu nadziei na pierestrojkę, niewielka grupa dysydentów zdecydowała się zorganizować międzynarodowe seminarium na temat praw człowieka. W związku z tym kilku czołowych działaczy partyjnych przygotowało dokument, który był zwykłym radzieckim donosem, tyle że skierowanym nie do KGB, a do Biura Politycznego. Ów dokument był podpisany przez cztery osoby, w tym dwóch architektów pierestrojki – Aleksandra Nikołajewicza Jakowlewa i Eduarda Ambrosiewicza Szewardnadze. Dwaj pozostali – Prokurator Generalny Rekunkow i ówczesny kierownik KGB Czebrikow - podpisali się z obowiązku służbowego. Ten donos był absolutnie klasyczny. Donosili na Lwa Timofiejewa, Larisę Bogoraz, Sergeja Grigoranca oraz na mnie, że „szykuje się jakieś seminarium. I ci dysydenci, mimo że już mieli wyroki, nie zmienili swojego podejścia i będą nadal w paskudny sposób oczerniać radziecką władzę. Wiadomo, co tam będzie się dziać.”

Ale był też nowy element. Wprawdzie napisano w donosie, że oczywiście trzeba by nas znów wsadzić do więzienia, ale zaraz dodano, że robić tego nie warto, bo postępową zachodnią inteligencja może to źle odebrać. Dlatego - pisano we wnioskach - nie należy nas wsadzać do więzienia, za to trzeba pokrzyżować samą możliwość zorganizowania seminarium.

I ta ostatnia część była wykonana znakomicie. Trzy wynajęte sale natychmiast okazały się nieprzydatne do prowadzenia jakichkolwiek imprez publicznych, dlatego że w jednej katastrofalnie rozpleniły się karaluchy, a druga była na skraju pożaru, zaś trzecia... podobno była zagrożona powodzią. Seminarium się odbyło, ale tak jak to zawsze bywało - w kuchniach. Wybieraliśmy duże mieszkania z dużą kuchnią i mniej więcej wolnymi przyległymi pokojami. Spotykaliśmy się i rozmawialiśmy.

A propos inteligencji, tak zwanej inteligencji twórczej – poetów, pisarzy, no i w ogóle naszych „inżynierów ludzkich dusz”. Rozesłaliśmy wówczas zaproszenia do dość szerokiego kręgu osób i muszę się ze wstydem powiedzieć, że nikt nie przyszedł, ani jedna osoba! Pod tym względem, niestety, w haniebny sposób różnimy się od krajów Europy Wschodniej.

Później miałem niezłe stosunki z Aleksandrem Nikołajewiczem Jakowlewem. Ale nigdy nie rozmawialiśmy na temat tamtego donosu. Było mi niezręcznie przypominać o tym starszemu panu. Ale bardzo dobrze rozumiem, czym kierowali się on i Szewardnadze. Uważali, że: najpierw trzeba zreformować partię, pozostawiając jej władzę absolutną, a już później może warunki się zmieniać i kolej przyjdzie na reformowanie kraju. Jestem przekonany, że Michaił Sergejewicz Gorbaczow myślał podobnie. Taki był model.

Przypomnijmy też trudną walkę przeciwko zniesieniu szóstego paragrafu Konstytucji (o przewodniej roli Partii Komunistycznej – przyp. tłum.). Kiedy stało się już jasne, że nie da się go

uratować, Biuro Polityczne natychmiast podjęło decyzję (o której też mi opowiedział Aleksander Jakowlew w rozmowie prywatnej) o stworzeniu alternatywnych ugrupowań, ale kontrolowanych przez władze partii. I kilka dni później z wielką pompą powstała Liberalno-Demokratyczna Partia Rosji, natychmiast odnosząc ogromne sukcesy wyborcze. Otóż na tym, moim zdaniem, polegało reformowanie odgórne.

A teraz kilka słów o rosyjskiej inteligencji. Myślę, że opozycja intelektualna w latach 1960-1980 nie była opozycją polityczną. Było to coś w rodzaju moralnego sprzeciwu wobec reżimu. I wszystko, czym się zajmowaliśmy w tamtych latach, włącznie z publikacjami Samizdatu, o których mówił Adam - to wszystko było próbą zasłużenia sobie na prawo do szacunku do samego siebie, obroną swojej godności. Po prostu pojawiło się dość dużo osób gotowych zasłużyć sobie na to prawo nawet za cenę więzienia. Taką mieliśmy opozycję. Tyle, że działając w ten sposób nie mieliśmy żadnego bezpośredniego wpływu na ewolucję polityczną, którą później przeżywał nasz kraj. A jeśli już, to tylko pośrednio.

Czym więc, w okresie poprzedzającym pierestrojkę, zajmowała się ta dziwna grupa intelektualistów, pewnych tego, że w dającej się przewidzieć przyszłości - ich sprzeciw nie będzie miał żadnych skutków? Mogę powołać się tu na bardzo autorytatywne źródło - na dobrze znany wywiad Andrieja Sacharowa, w którym mówił on, że pozycja intelektualistów nie przyniesie rezultatów, że bez wątpienia część z nich pójdzie siedzieć do więzienia, a druga zostanie wyrzucona z kraju albo wsadzona do szpitali psychiatrycznych, ale to i tak nic nie da.

Oczywiście, w związku z tym często przypomina się świetną pracę Andreja Amalrika „Czy Związek Radziecki przetrwa do 1984 roku?” Ale wydaje mi się, że jeśli by Orwell nazwał swoją książkę na przykład „2058”, to Andrej wstawił by do tytułu ten właśnie rok.

W tym samym wywiadzie dziennikarz zadał Andriejowi Sacharowowi pytanie o jego prognozy na przyszłość, na co ten ostatni najpierw odpowiedział: „Ja nie oczekuję żadnych zmian w naszym kraju w bliższej przyszłości”. A potem zastanowił się i dodał: „Zresztą kret historii ryje niepostrzeżenie”. Otóż myślę, a nawet jestem pewny (wnioskując z moich prywatnych rozmów z Andrejem Dmitriewiczem), że ten „kret historii” był takim bardzo ostrożnym przypuszczeniem. Przepuszczeniem, które on oceniał jako mało prawdopodobne. Ocena okazała się błędna, ale przypuszczanie było trafne.

A więc, kiedy intelektualna opozycja zaczęła wpływać na to, co się działo w kraju? - Do tego doszło dopiero po rozpoczęciu pierestrojki. Ale to już byli inni intelektualiści, których od razu nazwano „nieformalami” (członek nieformalnej organizacji – przyp. tłum.), nie tamci którzy byli gotowi iść do więzienia broniąc swojej godności. Tamci, jak już mówiłem, nie wywarli bezpośredniego wpływu na ewolucję polityczną. Ale „nieformalom” to się udało. To nasi dalsi kuzyni, bo oni też byli dziećmi Samizdatu.

W czasach władzy radzieckiej nie byli oni nazbyt aktywni. Po pierwsze – zapewne kierowała nimi normalna, naturalna ostrożność. Przecież za działalność opozycyjną wsadzają do więzienia, a kto chce narażać swoją rodzinę na niebezpieczeństwo lub ryzykować utratą ulubionej pracy? W imię czego? Jaki będzie wynik?

Po drugie – byli to ludzie bardziej skłonni do „realpolitik”. Różnica między nami polegała na tym, że my razem z autorem „kreta historii” Andrejem Sacharowem absolutnie nie liczyliśmy na jakiegokolwiek skutki naszych działań, oprócz jednego, o którym już wcześniej mówiłem. To znaczy oczywiście myśleliśmy, że może kiedyś, w dalekiej przyszłości nasza rola w historii tego kraju zostanie doceniona. Jeden mój dobry kolega i wybitny myśliciel kiedyś powiedział: „Cóż, trzysta lat jest dla mnie w porządku”. Otóż wtedy myśleliśmy na taką skalę, podczas gdy nowa

grupa „nieformalów“, którzy przyszli na nasze miejsce - liczyła na natychmiastowe rezultaty. I jeśli pierestrojka poszła nie tak, jak zamierzali jej architekci, to właśnie dzięki staraniom tychże „nieformalów“.

Inna rzecz, że miało to i swoje wady. Ale ja teraz nie będę o tym mówił, bo to są rzeczy oczywiste. Niektórzy z nieformalów dostali się nawet blisko władzy. W jakimś sensie można do nich zaliczyć Jegora Gajdara. Jeśli on i nie wchodził do grona „nieformalów“, to na pewno był im bardzo bliski. Wcześniej był jednym z organizatorów nie to, że podziemnego, ale absolutnie nielegalnego ekonomicznego seminarium, a później utworzył pierwszy reformatorski rząd.

Teraz jest rzeczą modną krytykować tamtą ekipę i ówczesnych „nieformalów“, ale to władza znów zdecydowała się na zmianę odgórną, na inny wybór. Borys Jelcyn, nasz pierwszy prezydent, dokonał tego jesienią 1991 roku. Myślę, że Boris Nikołajewicz szczerze pragnął nauczyć się podstaw demokracji, traktował to bardzo poważnie, ale był w tym ograniczony swoim partyjnym doświadczeniem.

Przypomnijmy: po klęsce puczystów w sierpniu 1991 r niewielka grupa osób - ja też do niej należałem - nakłaniała Borisa Nikołajewicza do natychmiastowego zwołania Zjazdu Deputowanych Ludowych. To była najbardziej odpowiednia chwila dla tego rodzaju działań, ponieważ komuniści, którzy w tych czasach stanowili 87 proc deputowanych, przegrali ostatecznie i nieodwołalnie i byli gotowi przyjąć każdy model rozwoju. Mogliśmy zbudować transparentną, otwartą, sumienną politykę wartości, a nie interesów.

Ale Boris Nikołajewicz powiedział: „Wszyscy się mylicie. Czas pracuje na nas”, - i po błyskawicznym zwycięstwie wyjechał na urlop. Wrócił już w otoczeniu starannie dobranych, wybitnych „demokratów” - takich, jak Soskowiec, Korżakow, albo najlepszy minister obrony wszechczasów - Paweł Graczow itd. I tacy ludzie znaleźli się teraz w najbliższym, decyzyjnym otoczeniu prezydenta.

Gabinet Gajdara zajmował się wówczas wszystkim, oprócz polityki. To znaczy on zajmował się bardzo ważnymi sprawami gospodarki, ale do polityki nikt go już nie dopuścił. Dalej wszystko potoczyło się już automatycznie, zapoczątkowany został proces, który zaprowadził nas tu, gdzie dziś się znajdujemy.

Podsumowując te doświadczenia, chciałbym zaproponować dzisiejszym i przyszłym intelektualistom, obdarzonym poczuciem obywatelskim i odpowiedzialnością za swój kraj pewne zadanie. Wydaje mi się, że pokolenie intelektualistów lat 60-80-tych, do którego należałem, dało początek nowemu kierunkowi politycznemu w rosyjskiej myśli społecznej, który - w przeciwieństwie do politycznego realizmu - nazywam politycznym idealizmem.

Jestem głęboko przekonany, że za tym kierunkiem politycznym stoi przyszłość. Wydaje mi się, że zadanie nowego pokolenia obywatelsko nastawionych intelektualistów polega na tym, by korzystając między innymi z wielkiego przykładu krajów wschodnioeuropejskich uporczywie żądać (i jednocześnie szukać mechanizmów do zrealizowania tego żądania), żeby wartości uniwersalne przestały być jedynie zaklęciem w ustach doświadczonych polityków, którzy ani myślą stosować ich w praktyce. Rozumiem, jak trudno to osiągnąć, ale sytuacja w której z różnych powodów przerstajemy kierować się wartościami uniwersalnymi - świadczy o moralnym i prawnym kryzysie. Żyjemy z tym kryzysem, ale im dalej, tym trudniej będzie z tym żyć.

Krzysztof Zanussi:

Wydaje mi się, że trzeba zacząć od przypomnienia lat 70-tych, kiedy w polskim kinie podniosła się fala, którą później ktoś nazwał „kinem moralnego niepokoju”. Oczywiście nie mogliśmy nawet sobie wyobrazić, że nas tak nazwą. Wydawało, że taka długa nazwa nigdy się nie przyjmie. Ale jednak się przyjęła.

Co nas wszystkich łączyło? - Poczucie ogromnego dyskomfortu życia z etycznego punktu widzenia. To nie miało nic wspólnego z biedą, ponieważ za czasów Gierka poziom życia się podniósł dość wysoko. Ale istniało poczucie moralnego dyskomfortu; było za dużo kłamstwa dookoła, uczciwi ludzie zostawali bez niczego, podczas gdy ograniczeni lub zwykli łajdacy sięgali bardzo wysoko. Co najważniejsze jednak, nasze kino spotkało się z poparciem ze strony publiczności.

Dlaczego władza na to się zgadzała? - Oczywiście oni próbowali coś wycinać, ale to już były lata 70. Władza była bardzo niepewna siebie. Urzędnicy bardzo się cieszyli, jeśli im się udawało coś wyciąć i udowodnić w ten sposób swoim kolegom, że są aktywni. Ale z drugiej strony, oni rozumowali w następujący sposób: tu chodzi tylko o kwestie moralne, znaczy a nie działanie przeciwko ideałom komunistycznym.

Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę na aspekt ekonomiczny. Kiedy po raz pierwszy zrozumiałem, że komunizm nie jest na zawsze? - Za czasów Stalina byłem jeszcze bardzo mały i byłem przekonany, że tak już będzie na wieki. Pamiętam, że w jakimś szkolnym konkursie wygrałem bardzo niespodziewaną nagrodę – „Wielką Radziecką Encyklopedię”. Do dziś mam ją w domu - świetnie wygląda.

Potem nadszedł czas wybierać uczelnie, to już był 1955 rok. Długo nie mogłem wybrać, gdzie się uczyć. Miałem zamiar dostać się na architekturę, ale mój ojciec, który był konstruktorem, codziennie w domu szydził z socjalistycznego realizmu i ten pomysł jakoś sam mi wyparował z głowy. Wreszcie wybrałem fizykę. A u nas na fizyce byli bardzo niezależnie myślący ludzie. W ogóle zauważyłem, że niezależne myślenie jest wspólną cechą fizyków na całym świecie. Jeden z moich profesorów, któremu opowiedziałem o mojej „Radzieckiej encyklopedii”, powiedział, żebym zobaczył hasło „cybernetyka”. I tam rzeczywiście był ogromny artykuł, większą część którego zajmowało rozważanie na temat szkodliwości imperialistycznych idei. No i mój profesor powiedział: „Niech Pan zwróci na to uwagę, bo jeśli oni tak się tego boją, znaczy właśnie te idee ich zniszczą”. Niestety on nie dożył do tych czasów, kiedy się okazało, że miał rację.

Ale nie uwierzyłem wtedy swojemu profesorowi. U mnie to poczucie pojawiło się znacznie później. W latach 70-tych bardzo dużo pracowałem za granicą. No i pewnego dnia w Warszawie zatrzymuje mnie milicjant za jakieś przekroczenie przepisów drogowych. Miał rację, musiałem zapłacić grzywnę. Milicjant wziął mój paszport, obejrzał go i zapytał: „Pan jako reżyser chyba dużo pracuje za granicą”. Odpowiedziałem, że tak, pracuję. „Ale to znaczy, że ta grzywna nie jest dla pana zbyt wysoka”. Powiedziałem, że nie jest. „To w takim razie nie ma sensu jej wypisywać”. I on mnie puścił. Pamiętam, że patrzył na mnie wówczas z prawdziwym szacunkiem – kto ma pieniądze, ten ma rację. To był jeden z tych sygnałów, którą świadczą, że coś się kończy.

W tych samych czasach robiłem dla niemieckiej telewizji dokument o Krzysztofie Pendereckim. Na życzenie niemieckich producentów pytałem ludzi na ulicach o to, czy oni zazdroszczą Pendereckiemu, który jak na tamte czasy był już bajecznie bogaty. Miał ogromny dom, ogród i tak dalej. I wszyscy odpowiadali: „Nie, nie zazdrościmy mu, bo on zarobił te pieniądze za granicą, to znaczy są czyste. Jesteśmy z niego dumni, mimo, że nie znosimy jego muzyki, ale naprawdę jesteśmy z niego dumni”. Poczulem wtedy, że długo to nie potrwa.

No i wreszcie kiedy generał Jaruzelski wprowadził w 1981 roku stan wojenny, wydarzyło się coś bardzo ciekawego, a mianowicie bojkot telewizji państwowej przez artystów. Niespodziewanie prawie wszyscy znani artyści odmówili współpracy z telewizją, przestali udzielać wywiadów. I jeśli nas ktoś rozpoznawał na ulicy, to podchodził i mówił: „Dziękuję za to, że nie ma w telewizji”. Wiadomo, że aktorzy i w ogóle artyści są skłonni do konformizmu, ale w tych czasach konformizm podpowiadał, że trzeba się zachowywać po bohatersku, bo to się podoba ludziom. To był ten moment, kiedy prestiż intelektualistów, nawet nie intelektualistów, a artystów, podniósł się bardzo wysoko. Później nastąpił przełom, o którym już dokładnie opowiedział Adam. I mogę powiedzieć, że większość twórczych ludzi – moim zdaniem, około 80 proc. – aktywnie poparła te zmiany.

Ale przyszły dość trudne czasy. Zauważyłem to, kiedy robiono ze mną wywiad dla polskiej telewizji już po przełomie, na początku lat 90-tych. Poproszono mnie, żebym wypowiedział się na temat ojca Rydzyka i jego radio „Maryja”, które dopiero się powstało. Pytano mnie, co ja jako katolik myślę na ten temat. Ja od samego początku byłem dość krytycznie nastawiony wobec tego radia i chciałem o tym opowiedzieć. Ale telewizja państwowa poprosiła mnie, żeby wywiad został przeprowadzony przed moim domem. Zapytałem: „Czy to jest naprawdę konieczne?” „Wie Pan, jeśli ludzie zobaczą Pana na tle tak dużego, pięknego domu, to będą uważniej słuchać tego, co pan ma do powiedzenia. Pan będzie się cieszył większym zaufaniem”. Okazuje się, że jeśli inteligent ma pieniądze, to on coś sobą stanowi, ma autorytet, a jeśli jest biedny, to jego słowa są nic nie warte. To już był pierwszy symptom nowego społeczeństwa, nowej demokracji. Dla obecnych tutaj ekonomistów to oczywiście brzmi banalnie, ale dla mnie to było prawdziwe odkrycie.

Wszyscy dobrze wiemy, że Mozart i Haydn byli ludźmi bardzo zamożnymi, mimo że ich twórczość była skierowana do bardzo nielicznej grupy osób. Oni pisali swoje utwory maksymalnie dla sześćdziesięciu osób w salonie (sale koncertowe pojawiły się dopiero w XIX wieku), ale siła nabywczą biskupa, imperatora i wszystkich wykształconych ludzi była tak wielka, że tacy ludzie, jak Mozart czy Haydn byli bardzo zamożni. Inna sprawa, że na przykład Mozart pod koniec życia stracił wszystkie swoje pieniądze.

Pierwsze pytanie, które zawsze zadaję swoim studentom, brzmi tak: „Komu chcecie się podobać?” - Przed upadkiem komunizmu, żyliśmy w społeczeństwie z pionową organizacją. Przetłumaczony na polski jeszcze za czasów komunizmu Ortega-y-Gasset wydawał się nam czymś absolutnie abstrakcyjnym. I nagle okazało się, że to również dotyczy nas. Dzisiaj siła nabywczą mas jest niewiarygodna i oczywiście ona podważa wszystkie wartości, ponieważ jeśli chcemy podobać się masom, musimy zejść do ich poziomu. Wtedy to, co zrobimy będzie się dobrze sprzedawać. A artyści, którzy chcą się podobać wybranej publiczności z dobrym gustem, z ekonomicznego punktu widzenia znajdują się na marginesie, bo ta część społeczeństwa nie ma dziś dużych pieniędzy i nie może tej sztuki opłacać. To okazało się dla nas czymś zupełnie nowym, z czym nigdy nie mieliśmy do czynienia.

Na przykład w XIX wieku literatura była skierowana tylko do elit, z tego prostego powodu, że większość ludzi była niepiśmienna. Pamiętam jak była zdziwiona moja babcia, kiedy w latach 20-tych w Polsce dowiedziała się, że pojawiła się literatura dla posługaczek. Okazało się, że one już umieją czytać. Wcześniej nikt by nie pomyślał pisać dla nich romansów. Więc demokracja z tego punktu widzenia była dla twórczej inteligencji wielką porażką, bo nowa oligarchia (choć w Polsce nigdy nie było prawdziwej oligarchii) nie bardzo śpieszyła się zamawiać u Pendereckiego nowych utworów, ona po prostu jeszcze do tego nie dorosła. Ponieważ bogactwo pojawiło się u tych ludzi dość szybko, a kultura potrzebuje czasu.

Artyści, oczywiście, odczuwają to boleśnie. Ale widzimy, że w Zachodniej Europie sytuacja wygląda bardzo podobnie. Demokracja w ogóle nie bardzo lubi bohaterów i autorytety. Ludzie z demokratycznych krajów czują się dobrze, kiedy wszyscy są równi i nie ma autorytetów. W całej Europie z teatralnych scen zniknęły bohaterskie osobowości. Kto dziś wystawia Schillera? Schillera nie inscenizuje się, bo on nie zgadza się z demokracją. Ale w czasach walki w obronie demokracji Schiller był jak najbardziej do rzeczy. Victor Hugo też został porzucony. To nie są autorzy, którzy mogliby się spodobać komuś, kto chce wierzyć, że wszyscy jesteśmy równi i nikt się nie wyróżnia z ogólnej masy, w tym z moralnego punktu widzenia.

Dlatego wśród artystów dostrzegam dziś swego rodzaju zmieszanie. Jeszcze pamiętamy, gdy publiczność, nawet jeśli nie rozumiała naszej twórczości, to ceniła nas za to, że jako elita próbowaliśmy brać na siebie część jej odpowiedzialność. I tutaj można przytoczyć cytaty z Daga Hammarskjölda, byłego Sekretarza Organizacji Narodów Zjednoczonych. Jako szwedzki arystokrata bardzo dobrze to ujął: „Elita to nie ci ludzie, którzy są wysoko postawieni, a ci, którzy bezinteresownie przejmują na siebie odpowiedzialność za innych”. I w dużej mierze intelektualisci i artyści przejmują na siebie taką odpowiedzialność.

Prawdę mówiąc, jestem umiarkowanym pesymistą, ale mam wrażenie, że w ostatnich latach sytuacja się poprawiła. Mamy rokujące nadzieje na przyszłość młode pokolenie. Ale mamy też duże problemy z pokoleniem, które w świadomym wieku przeżyło transformację i po zaistniałych zmianach w dużej mierze straciło orientację. Dla niego nie istnieją ani autorytety, ani prawdziwe wzory, oprócz tych, które w dużych ilościach można znaleźć w popularnych magazynach.

Ale to się już zmienia. Widzę, że wśród młodzieży pojawia się zainteresowanie intelektualistami i artystami - oni zaczynają się domyślać, że ci ludzie mają znacznie ciekawsze życie, niż biznesmeni. Oprócz tego zauważyłem wśród nich pewien powrót do przekonania, że życie zbudowane na prawdziwych wartościach i szacunku do samego siebie jest bardziej komfortowe, niż życie tych, którzy pracują w banku i trzęsą się ze strachu, że stracą pracę. Dla artystów bezrobocie jest normalnym stanem, dlatego są odporni na tego typu lęki. Generalnie jestem bardzo pozytywnie nastawiony wobec nowego pokolenia Polaków, bo widzę już realne zmiany.

Co dotyczy naszej polityki, to na szczęście można już stwierdzić, że mamy normalnie funkcjonującą demokrację. Po dwóch latach politycznych eksperymentów zrezygnowaliśmy z bardzo niebezpiecznej drogi, o czym już wcześniej świetnie opowiedział Adam. To oznacza, że nasza demokracja działa. Ludzie poczuli, że zaczyna być groźnie, i poszli głosować. I wśród głosujących chyba po raz pierwszy było tak dużo młodzieży. Ale j

Jestem jednak przekonany, że artyści, ludzie twórczy, w normalnych warunkach nie powinni się zajmować polityką. W prawdziwej polityce nie ma nic ciekawego dla ludzi sztuki: prawdziwa polityka to podatki. Niech podatkami zajmują się specjaliści, a my możemy tylko powiedzieć, czy nam się to podoba, czy nie. Powinniśmy się włączać do życia publicznego tylko wtedy, kiedy w grę już wchodzi wartości moralne. Ale w takim razie kwestia przenosi się ze sfery politycznej do sfery moralnej. Tam, gdzie mówimy „prawda”, „niesprawiedliwość”, „przemoc”, już nie ma polityki, to jest poziom wyższy od polityki. W takiej sytuacji nie możemy i nie powinniśmy milczeć. Ale póki co, sytuacja w Polsce z moralnego punktu widzenia jest dopuszczalna.

Lew Gudkow:

Postaram się zmieścić w przeznaczonych mi 10-15 minutach, tym bardziej, że Siergiej Kowaliow już poruszył bardzo ważne tematy, o których zamierzałem opowiedzieć. Też uważam,

że do klęski radzieckiego systemu doszło nie pod wpływem działań i krytyki intelektualistów lub ich wyjątkowej roli, ale wskutek przyczyn wewnętrznych, wewnętrznego rozkładu, albo mówiąc językiem socjologicznym - wskutek niemożności odtwarzania się systemu radzieckiego. Na najwyższych szczeblach władzy, po zakończeniu terroru, pojawiło się napięcie o charakterze systemowym. Kanały mobilności zostały zamknięte, efektywność zarządzania spadała i pierwsze próby odgórnego reformowania władzy doprowadziły do tego, że centralne instytucje systemu, przede wszystkim instytucje partyjne i dobór kadrów, który zapewniała partia - cała ta struktura rozsypała się.

Intelektualiści okazali się nie przygotowani do tej sytuacji. Dlaczego? - sprawa jest dość skomplikowana i nie podejmuję się dokonać jej pełnej interpretacji, ale na niektóre ważne momenty warto zwrócić uwagę.

Zacznę tak samo jak Michnik – od 1968 roku, od stłumienia Praskiej Wiosny, która stała się przełomowym punktem rosyjskiej historii. Miało to dwie bardzo ważne konsekwencje. Po pierwsze w świadomości intelektualistów i w ogóle społeczeństwa umocniła się teza o niereformowalności socjalizmu. To był już koniec, system został dyskredytowany.

Po drugie, jako reakcja na praskie wydarzenia wśród intelektualistów zaczęły rodzić się różnego rodzaju nurty. Z jednej strony, powstał dość mocny ruch etyki konfrontacji, a z drugiej – zaczął się wzrost nacjonalizmu, poszukiwanie alternatywnych ideologii, jako reakcja na niereformowalność systemu, niemożliwość jego ulepszenia. Zaczęło się poszukiwanie tradycjonalistycznych podstaw rosyjskiego fundamentalizmu itd.

Jednym ze skutków rozwoju takich radykalnych pomysłów było jednak również rodzące się przekonanie o niezbędności zachowywania kultury. Trzeba było utrzymać kulturalną tradycję, najwyższe wartości wielkiej rosyjskiej kultury do tego momentu, kiedy system się załamał. To nastawienie na zachowywanie, na zbieranie, na odtwarzanie było nadzwyczaj ważne przede wszystkim dla humanistycznej inteligencji.

To nastawienie - z jednej strony - blokowało (przy pewnej jego realizacji) możliwość dialogu z zachodnią nauką socjalną, ponieważ dążenie do zachowania kultury nie wymaga racjonalizacji. Ale z drugiej – stało się chwilą odrodzenia samoświadomości, konsolidacji wewnętrznej i samoidentyfikacji inteligencji jako warstwy społecznej. Z drugiej strony - nie powinno tu być żadnych złudzeń, dlatego że inteligencja - jeśli patrzeć na jej rolę socjalną, na jej status, na jej typ organizacji – to była część państwowej biurokracji. W Związku Radzieckim nie było żadnej innej inteligencji oprócz państwowej biurokracji zajmującej się oświatą, odtwarzaniem, zapewnieniem poparcia i legitymizacją władzy.

Te dwa elementy - działalność zawodowa i samoidentyfikacja – nie były sprzeczne, a wręcz przeciwnie uzupełniały się nawzajem budując osobliwe pojmowanie charakteru tej biurokracji i zapewniając możliwość nacisku ze strony władzy w najbardziej barbarzyński sposób. Moim zdaniem, właśnie to samorozumienie inteligencji blokowało możliwość przystąpienia do praktycznych działań i możliwość opanowania zachodniego doświadczenia, zachodniej wiedzy, zachodniej kultury, w tym socjalnej, politycznej itd. Wśród inteligencji pojawił się swoisty narcyzm, który prawdę mówiąc nie zakładał żadnego praktycznego działania. Ale jako wariant takiego działania - dał impuls rozwojowi „samizdatu“.

Masowe rozpowszechnianie i budowanie jego struktur przypada na początek lat 60. Samizdat był bardzo ważnym zjawiskiem i formą dodatkowej, nieformalnej samoorganizacji tej humanistycznej biurokracji. Błędem jest wyobrażać sobie „samizdat“ jako czysto ideologiczne i

polityczne rozpowszechnianie tych lub innych tekstów. Obejmował on wszystko, co zostało zabronione przez cenzurę w oficjalnej literaturze.

Z naszych badań wynika, że jeśli na początku, w latach 60-tych „samizdat“ łączył kilka tysięcy osób, to na początku lat 80-tych, to znaczy w przededniu pieriestrojki, liczba osób włączonych w struktury „samizdatu“ wynosiła już kilka milionów. I przede wszystkim w dużych miastach. Jeśli doliczyć do tego 15-20 milionów osób w ten lub inny sposób związanych z odbiorem „samizdatu“, to okaże się, że na końcu lat 80-tych miał on wpływ na 15-20 proc. ludności ZSRR. I w tym sensie on odegrał bardzo ważną rolę.

Czego jednak „samizdat“ nie potrafił zrobić? - W „samizdacie“ były tylko teksty, ale nie było ani krytyki, ani analizy, ani dyskusji; zapoznawał z tekstami, ale nie dawał ich intelektualnej interpretacji. Nie było żadnej dyskusji i to jest bardzo ważne, bo nigdy nie wypracowano koncepcji, wizji tego, co robić dalej. Dlatego kiedy system zaczął pękać w szwach i wreszcie się załamał, wszystko, co zostało zgromadzone w ciągu tych lat w „samizdacie“, znalazło się na stronach czasopism literackich, które wyczerpały to źródło w ciągu 2-3 lat. Nakłady czasopism wzrosły ze 100-150 tysięcy aż do 3, 5 miliona, jak to było w przypadku „Nowego Miru“. I na tym koniec. Przedrukowano wszystko, co ukazało się w „samozdacie“, ale nie podjęto żadnej pracy nad tymi tekstami. I w jakiejś mierze dlatego czytelnicy zapoznali się z tym, co było do przeczytania i odłożyli na bok. Nie wiem, czy państwo wiecie, że zarazem

Nawiasem mówiąc, i „samizdat“, i sama rosyjska inteligencja wzięli za wzór tezę zaproponowaną jeszcze przez Bunina w artykule z 1924 roku „O misji rosyjskiej emigracji“, która polegała na tym, że trzeba zachować tradycję, donieść ją do lepszych czasów, a dalej nasze zadanie się kończy. W rezultacie, rosyjska inteligencja wypełniła tylko część swojej roli, która była związana z krytykowaniem i niszczeniem. W tym sensie rzeczywiście system radziecki, któremu przeciwstawiała się inteligencja, był oceniony adekwatnie i został poddany – szczególnie reżym stalinowski – bardzo ostrej krytyce.

Błąd polegał na tym, że była to zarazem krytyka nadzwyczaj powierzchowna, pomijająca ocenę podstaw tego systemu, jego natury, źródeł, a przede wszystkim antropologii poparcia dla niego. I dlatego wszystko generalnie sprowadzało się do osobowości Stalina; że Stalin to maniak, a bolszewicy to bandyci itd. Ale dlaczego ten reżym funkcjonował, dlaczego miał poparcie, dlaczego zaczął się rozpadać? – Na te pytania nie było żadnych odpowiedzi. I mogę powiedzieć, że w gruncie rzeczy ich ciągle nie mamy. Ani historycy (mam na myśli państwowych historyków), ani socjologowie nie zajęli się tymi sprawami.

W tym sensie ekonomiści okazali się bardziej skuteczni, dlatego że byli w mniejszym stopniu odpowiedzialni za zachowywanie kultury i tradycji, za to byli bardziej związani z praktycznymi strukturami zarządzania.

Z tym wiąże się i kolejny problem, swego rodzaju legitymistyczna pułapka w stylu Sokratesa. Chodzi o to, że krytyka poprzedniego reżymu jest jednym z podstawowych mechanizmów przy zmianie władzy. Zmiana władzy w totalitarnych reżymach podobnych do radzieckiego jest nadzwyczaj bolesnym i ostrym problemem, który w zasadzie jest nie rozwiązywalny wskutek samej natury reżymu. Dlatego zmianie władzy zazwyczaj towarzyszy ostra krytyka poprzedniego reżymu i jego dyskredytacja. Rzecz w tym, że dyskredytacja reżymu nie zmienia samej struktury systemu, a sama krytyka, bez proponowania praktycznego pozytywnego programu odtwarza ten sam system.

I jeszcze jeden temat wart uwagi. W sytuacji rozkładu pieriestrojki, idea przekazywania i odtwarzania kultury połączyła się z ideą odgórnej modernizacji. Inteligencja nie będąc

przygotowana do praktycznej działalności bardzo łatwo związała swoje nadzieje i swój los z nowym reżymem. Podzielając ideę odgórną modernizacji i zgadzając na dominującą rolę ekonomicznego determinizmu (niby zaczniemy ekonomiczne reformy, uregulujemy życie gospodarcze, a reszta będzie dodana) – udzieliła mu pełnego poparcia.

Dlatego wiele deklarowanych haseł i programów nigdy nie zostało zrealizowanych. Ale i nie mogło być inaczej, skoro nie było ani doświadczenia, ani odpowiedniej wiedzy, ani świadomości konieczności zaangażowania się. Władza korzystała z inteligencji w sytuacji kryzysu, przejmowała jej bardzo krytyczne hasła i popierała jej skłonność do niszczenia i demaskowania poprzedniej władzy, ale jednocześnie nie dopuszczała inteligencji i intelektualistów do władzy. Inteligencja była blisko władzy, zdobyła ją, ale nie brała najmniejszego udziału w podejmowaniu decyzji. Sposób ich podejmowania pozostał taki sam, jak za czasów władzy radzieckiej. Nowy reżym był tak samo zamkniętym, autokratycznym i opierał się nie na słabym społecznym ruchu, „nieformalów“ lub powstających partiach politycznych, a na strukturach siłowych, przede wszystkim na armii i policji politycznej.

Igor Klamkin:

Oprócz tych grup inteligencji, o których mówił Siergiej Adamowicz – w tym i tej dysydenckiej, która gotowa była iść do kryminału - była jeszcze jedna, tworząca m.in. międzyregionalną grupę deputowanych, która w istocie nadawała ton gorbaczowowskiej pieriestrojce. Jeśli porównamy ją z Polską, to pojawi się od razu wiele różnych kwestii. Znam jednego z najważniejszych przedstawicieli tej grupy. Po sierpniowym puczu 1991 roku w «Niezawisimoj gazecie» opublikowano list protestacyjny. Nie pamiętam, czy Siergiej Adamowicz Kowaliow podpisywał ten list czy nie, ale były tam podpisy Jeleny Bonner i Lwa Timofiejewa, którzy mieli duże pretensje do Jelcyna i nowej władzy, że znów stawiają na nomenklaturę. Jelcyn ich zaprosił i spytał: „powiedzcie, co powinienem robić“? Ale oni nie wiedzieli, co odpowiedzieć, bo nigdy się nad tym nie zastanawiali. Wiedzieli tylko, że nomenklatura to źle. A co jest dobrze i jak dobrze, o tym nie myśleli. Zupełnie inaczej niż Polacy, którzy potrafili nadać swojemu protestowi nie tylko ramy organizacyjne, ale i – nazwijmy to tak – technologiczne. Organizując swój okrągły stół zajmowali się nie tylko kwestią przekazania władzy, ale również reformowaniem państwa

Przejdźmy do spraw współczesnych. Tu też jest masa problemów. I przede wszystkim jest to problem świadomości znacznej części akademickiej inteligencji. Świadomości kształtowanej pod wpływem wydarzeń ostatnich dwóch, trzech lat. Wróciła i znów stała się modna teoria, że wszystko jest kulturowo określone, że skoro jesteśmy krajem kulturowo określonym i kulturowo tak odmiennym, to to decyduje o wszystkim, przesądza naszą przyszłość i wszystko usprawiedliwia. Weźmy na przykład sprawę wielkiego głodu na Ukrainie, która wykazała, jak głęboko w naszych głowach, a nawet w naszej podświadomości tkwi to, co nazywam syndromem imperialnym. Decyzja władz w Kijowie, które uznały wielki głód za ludobójstwo, a także uchwała Rady Europy, która nazwała go „przestępstwem przeciwko ludzkości“ spotkały się u nas z powszechną krytyką. Powiadają, że przecież tak było wszędzie. Ale skoro tak, to również my powinniśmy przyjąć podobne uchwały. A jednak tylko nieliczni spośród naszych intelektualistów mają odwagę, aby w ten sposób stawiać sprawę. Można ich policzyć na palcach jednej ręki.

Edmund Wnuk-Lipiński:

Uczestniczyłem w obradach Okrągłego stołu w 1989 roku i chciałem zwrócić uwagę na jeden moment, o którym nie mówił Adam Michnik. Otóż zmiana systemu dokonała się wówczas tak szybko, że wcześniej nikt nie mógł sobie tego wyobrazić. To było poza horyzontem wyobraźni

partyjnej, rządowej elity, ale także naszej. Nasze cele wyznaczaliśmy skromnie. Chcieliśmy legalizacji „Solidarności” i ustanowienia bardziej liberalnych mechanizmów życia publicznego. Byliśmy przekonani, że mniej więcej po czterech latach, w wyniku w pełni demokratycznych wyborów, w Sejmie pojawi się opozycja od Solidarności, a do tego czasu nauczymy się mechanizmów rządzenia i tego, jak rządzić krajem. Tymczasem wszystko stało się o wiele szybciej.

Powiedzmy sobie szczerze: rola intelektualistów w tym wydarzeniu była, według mojego przekonania, dosyć ograniczoną. Za nami było doświadczenie „Solidarności” - masowego ruchu, który z kolei tworzył się w ciągu sześciu miesięcy na zasadzie samoorganizacji, a także pod wpływem doświadczenia pierwszej wizyty papieża Jana Pawła II w 1979 roku. To był zjednoczony ruch dziesięciu milionów Polaków, któremu wspólny nieprzyjaciel dodawał impulsów. Kiedy tego nieprzyjaciela zabrakło, to „Solidarność” rozpadła się. Tak naprawdę jednak realna polityka zaczęła się w 1990 roku, kiedy Leszek Balcerowicz wprowadził radykalne zmiany w gospodarce. To zmieniło całe nasze życie.

Głównym problemem w Polsce – niezależnie od tego, że istniała „Solidarność”, i było doświadczenie „Solidarności”, a także, poczynając od 1970 r, doświadczenie ogromnego ruchu różnego rodzaju niezależnych inicjatyw - było to jak zmienić sieć uczestników gospodarki. Trzeba było stworzyć nowy system, żeby przekształcić obywateli w społeczeństwo, ponieważ państwo bez społeczeństwa obywatelskiego jest jak kamienica bez fundamentów. Da się ją wybudować, ale nie będzie mocna.

My, intelektualiści, zdawaliśmy sobie z tego sprawę, ale zdawaliśmy też sobie sprawę z tego, jak ryzykowne jest dla nas takie wejście w politykę. Nauka i polityka to dwa absolutnie różne obszary o różnej logice. Dla naukowca głównym pytaniem jest dotarcie do prawdy, podczas gdy dla polityka liczy się skuteczność, osiągnięcie celu.

Wchodzić do polityki, włączać się czy zostawać jak dawniej na uboczu? – Taki był główny dylemat, przed którym stanęła część intelektualistów, związanych z ruchem „Solidarności”. Adam Michnik jest żywym tego przykładem. Rzecz w tym, iż wejście do polityki zawsze ma swoją cenę. Intelektualista, który wchodzi do polityki w istocie rezygnuje z wolności myślenia, ponieważ może to być niekorzystne dla jego opinii politycznej. Musi też zachować pewny minimum lojalności partyjnej. Poza tym zawęża swoją perspektywę poznawczą - wyolbrzymia to, co zbieżne z jego celami politycznymi i marginalizuje te elementy rzeczywistości, które są z nimi sprzeczne. Dlatego naukowiec albo artysta, który wchodzi do polityki przestaje być intelektualistą. Staje się technologiem władzy.

Z kolei polityk. On musi być żądny władzy, bo bez niej nie może realizować swoich celów. Ci politycy, które mówią: «władza nie jest mi potrzebna władza», albo kłamią, albo w ogóle nie są politykami. Idźmy dalej: intelektualista albo naukowiec, który dostarcza swoją wiedzę politykowi, bez względu na to, jakie cele on realizuje, jest albo cynikiem, albo co najwyżej naukowcem partyjnym. Ale obie te oceny dyskwalifikują go jako intelektualistę. Bo albo będzie musiał wyjść z roli naukowca i wejdzie w rolę polityka, albo stanie się partyjnym urzędnikiem.

Przejdę teraz do pytania, czy intelektualiści są w stanie pomóc w budowaniu społeczeństwa obywatelskiego, które jest fundamentem demokracji? - W swoich niektórych tekstach korzystam z pojęcia, które rzadko pojawia się w teorii demokracji, ale które wynika z najgłębszego doświadczenia mojego i mojego pokolenia. O tym wspominał między innymi Adam Michnik, ale używał innego określenia. Ja posługuję się terminem „etyczne społeczeństwo obywatelskie”.

W czasach komunizmu, dysydenci w Polsce stawali się dysydentami nie dla tego, że dążyli do władzy. Ich działania oparte były na silnym poczuciu etycznym – na przykład: nie kłamać, nie oszukiwać. Także na przekonaniu, że mimo wszystko – mimo niesprzyjającego otoczenia zewnętrznego - można być nadal obywatelem, który ma swoje prawa. Taka odmowa przyjęcia zasad reżimu represyjnego miała również swoje podstawy moralne, etyczne. To właśnie jest to zjawisko, które nazywam etycznym społeczeństwem obywatelskim.

Rzecz w tym, że w planie historycznym stan ten trwa krótko.. Bo albo system represyjny niszczy takich ludzi, ponieważ widzi śmiertelne niebezpieczeństwo dla swojego istnienia i możliwości reprodukcji - albo przegrywa. A jeśli przegrywa, to zaczyna się gra interesów oraz prawdziwa polityka. I kończy się etyczne cywilne społeczeństwo. Ci, którzy weszli do polityki, jak Adam Michnik, i znaleźli się w parlamencie - zaplątali się jak króliki w maszynie. Zorientowali się, że prawdziwa polityka to nie jest kontynuacja etycznego obywatelskiego społeczeństwa.

W demokratycznym systemie nie można realizować interesów w inny sposób i bez wsparcia obywateli. Ale najpierw powinni być obywatele, bo jeśli ich nie ma, to mamy do czynienia jedynie z interesantami, których można kupować. I tak to się odbywa w systemach oligarchicznych, gdzie autorytarni władcy dysponują czasami nawet prawdziwym wsparciem mas, ale tylko dlatego że to wsparcie kupili i zwolnili ludzi od odpowiedzialności za własne zachowania. Dla wielu Polaków, kiedy runął komunizm, było ogromną niespodzianką, że wolność oznacza niepewność przyszłości i ryzyko.

Dla dużego odłamu naszego społeczeństwa to było odkryciem i szokiem, czymś co było ciężko przetrwać. Ale to nie było niczym nowym w historii. Z podobnym szokiem mieliśmy do czynienia również w okresie międzywojennym, kiedy ogromne masy ludzi - jak pisał Erich Fromm - „uciekały od wolności“, szukając schronienia pod skrzydłami wszelakich autorytetów. Fala faszyzmu, która przeszła przez Europę i spotkała się z komunizmem, przecież to nie obeszło się bez uczestnictwa zwyczajnych ludzi. Zwyczajni ludzie podtrzymywali to. W republice Weimarskiej ultraradykalne partie, czyli nazistowska i komunistyczna cechowały się dużą płynnością elektoratu. Oznacza to, że ludziom, którzy wybierali komunistów, a potem nazistów, było wszystko jedno, na kogo głosują. Oni głosowali za radykalną alternatywą, która zdejmie z nich brzemień odpowiedzialności za własne życie.

I z czymś takim mieliśmy do czynienia w Polsce. Ci, którzy obserwują polskie sprawy, na pewno pamiętają epizod z pierwszych wyborów prezydenta w Polsce, kiedy raptem jedna czwarta Polaków była gotowa oddać władzę nad państwem człowiekowi znikąd, którego nazwiska nie warto nawet wspominać. W ciągu sześciu tygodni stał się on alternatywą dla liderów „Solidarności“ i postkomunistów. Dla postkomunistów, ponieważ aż za bardzo pragnęli zwycięstwa. W przypadku zaś „Solidarności“ - właśnie z tego powodu, że ludzie, część naszego społeczeństwa, odkryli dla siebie, że wolność ciągnie za sobą również możliwość porażki.

I odtąd zaczyna się dorosłe życie. Jeśli chcemy osobistą autonomię, to powinniśmy również skutki swoich wyborów, a dla niektórych ludzi było to trudne do zniesienia, wręcz niemożliwie. Czy udało się już zmienić? – Badałem to ze swoim zespołem, stawiając generalne pytanie, jak Polacy rozumieją obywatelstwo w systemie demokratycznym i jak postrzegają swoją w nim rolę?

Szukając odpowiedzi na te pytania, korzystaliśmy z klasycznego podziału na trzy segmenty obywatelstwa: cywilne, polityczne i społeczne. I rzecz ciekawa: z naszych badań wynika, że najistotniejszym dla polskich obywateli jest segment cywilny. To jest indywidualistyczna

wolność i polityczny element, czyli reprezentacja w politycznej elicie. Ale faktem jest też, że dla prawie 40% naszego społeczeństwa ważne są również opiekuńcze funkcje państwa i gdyby zrezygnowało ono z tych funkcji, które odziedziczyło od byłego systemu, to byłoby to dla nich dużym kłopotem. Mówiąc inaczej, dla 40 proc Polaków państwo liberalno-demokratyczne, z rynkowym modelem gospodarczym, nie ma prawa rezygnować z robudowanych w poprzednim systemie funkcji socjalnych. Czyli: jesteśmy społeczeństwem cywilnym, które jednak jest bardzo zorientowane na państwo opiekuńcze.

I ostatni element, który wydaje mi się niezwykle ważnym – to jest rola intelektualisty w cywilnym społeczeństwie. Przede wszystkim jest to wyznaczenie reguł postępowania w sferze etyki politycznej; tego, co w polityce jest dopuszczalne, a czego robić nie można. Czyli: chodzi o wyznaczanie - z jednej strony - przyzwoitych celów, a z drugiej - normatywnych zasad prowadzenia realnej polityki. Innymi słowy, chodzi o szeroko rozumianą kulturę polityczną i jeśli ktoś za to odpowiada, to właśnie, bo to oni określają formę dyskusji. I to oni odpowiadają za to, że elementy politycznej kultury w jakimś kraju są na niskim poziomie, bo albo milczą, albo sami uczestniczą w konserwowaniu niskiego poziomu kultury politycznej.

Zadaniem intelektualistów jest obrona i promocja tradycyjnych cnót republikańskich: zaufania, zasady wzajemności, tolerancji, odpowiedzialność za innych. Muszą też odpowiedzieć, czym jest dobro ogólne dobro. I to nie z ekonomicznego punktu widzenia, ponieważ to łatwo wyliczyć, ale w kategoriach normatywu. Jeśli nie ma zaufania - a w Polsce przeżywamy kryzys zaufania społecznego, (co potwierdzają badania) - to stwarzamy przynętę dla różnych liderów, którzy chcieliby to wykorzystać dla budowy własnego modelu autorytarnego. Ale myślę, że do tego w Polsce nie dojdzie.

Gleb Musichin:

Prof. Wnuk-Lipiński bardzo wyraźnie i bardzo zrozumiale wymienił priorytety, którymi musi kierować się intelektualna wspólnota, ale są to priorytety, które odnoszą się do rzeczywistości społeczeństw tzw. «złotego miliarda», bo tylko tu intelektualna wspólnota jest zdolna do samoodtworzenia się, jak źródło wartości i sensu cywilnego społeczeństwa. W innych krajach okoliczności są inne: w samoświadomości wspólnoty ekspertów i w jego intelektualnej i politycznej pozycji.

To odnosi się również do rosyjskiej sytuacji. W poprzednim okresie historycznym w Rosji ukształtowała się dosyć silna elita intelektualna i pod tym względem Związek Radziecki był dosyć zaawansowanym społeczeństwem. Zaprzeczać temu byłoby rzeczą bezsensowną, choć oczywiście pomijam tu kwestię jakościowego składu tego społeczeństwa. W latach 90 dokonał się dramatyczny przełom, w wyniku którego Rosja, w wielu wskaźnikach zeszła poniżej poziomu, przy którym intelektualna elita jest ceniona i zapotrzebowana. Mówiąc inaczej mamy dziś odziedziczoną z przeszłości wspólnotę intelektualną, elitę, a jednocześnie poziom rozwoju kraju jest dramatycznie niski. Tak niski, że wspólnota ta – jako całość - ma nawet problem z własnym odtworzeniem, kontynuacją. W ten sposób, moim zdaniem, rosyjscy intelektualiści znaleźli się w sytuacji podobnej do tej, jaką zajmują elity intelektualne w państwach trzeciego świata.

W świecie wysokorozwiniętym, w krajach tzw «złotego miliarda» intelektualna elita formuje swego rodzaju agendę dla całego społeczeństwa. A jeśli nawet nie cały „porządek dzienny“, to przynajmniej jego podstawowe elementy. Dzięki temu w zachodnich społeczeństwach liberalno-demokratycznych mogło ukształtować się to, co niektórzy nazywają „demokracją ekspertów“, tworzoną nie tylko przez intelektualistów i uczonych, ale także – na przykład - stowarzyszenia dziennikarskie i część elity politycznej.

To właśnie oni wyznaczają krąg idei i celów, w granicach którego państwo, społeczeństwo obywatelskie określa swoje perspektywy. Mogą się nie zgadzać ze sobą, mogą nawet walczyć, ale to oni – traktowani już jako pewna wspólnota intelektualna – określają kierunki rozwoju.

Patrząc z tego punktu widzenia, sytuacja rosyjskiej elity intelektualnej jest bardzo trudna i nie odpowiada tej rzeczywistości społeczno-gospodarczej, jaka ukształtowała się dziś w Rosji. Nie tylko nie jest zdolna do tego, aby formułować ów korytarz możliwości, ale nawet uczestniczyć w jego realizacji. Paradoks polega też na tym, że ona – tj. elita intelektualna - nie może tego zrobić, ponieważ jest bardziej skomplikowana od tej rzeczywistości. A teraz, żeby mogła uczestniczyć w rozwiązaniu konkretnych problemów, które stoją przed krajem, żąda się od niej, aby była bardziej pragmatyczna, bardziej adekwatna, a tak naprawdę - bardziej prymitywna.

I tu dochodzimy do problemu świadomości elity intelektualnej i jej statusu w społeczeństwie – elity, która już choćby z samego, naturalnego instynktu samozachowawczego nie jest w stanie uznać faktu, że tak naprawdę nikt jej już niepotrzebuje.

Brzmi to okrutnie, ale taka jest nasza rzeczywistość. Ja sam nie mam żadnego moralnego prawa aby potępiać elitę intelektualną, bo w jakimś sensie do tej elity należę. Ale, jeśli nie będzie ona w stanie zrobić chociażby tego pierwszego zasadniczego kroku, to – moim zdaniem - nie będzie także mogła dokonać tego, do czego jest powołana. To jest -definiowania rzeczywistych problemów kraju i formułowania sposobów ich rozwiązania; tego, w jakim kierunku powinien zmierzać rozwój Rosji. Stąd te liczne niedomówienia, dwuznaczności i niejasności, którymi są przepelnione nasze publicystyczne i analityczne teksty.

Mamy więc do czynienia z następującą sytuacją: nasz kraj stacza się do poziomu trzeciego świata, a jego intelektualna elita wciąż uważa i zachowuje się tak, jak by nadal należała do świata «złotego miliarda». I jest to poważny problem, tym bardziej, że diagnozy elity politycznej i intelektualnej, eksperckiej tak bardzo odbiegają od siebie.

A skoro już wspominałem o elicie politycznej. Dla niej kwestia przynależności Rosji do cywilizacji «złotego miliarda», czy też do państw trzeciego świata jest kwestią drugorzędną. Najważniejsze jest utrzymanie kontroli nad Rosją i nad rosyjskim społeczeństwem. A jakim ono będzie – liberalno-demokratycznym, czy jakimś innym, nie ma większego znaczenia.

W tej sytuacji wspólnota ekspertów, moim zdaniem, sama podważa podstawę własnego istnienia, ponieważ zmuszona jest pełnić dwie funkcje, które pozostają ze sobą w konflikcie. Z jednej strony bowiem, muszą obsługiwać elitę polityczną, a jednocześnie zachować intelektualną niezależność, gwarantującą wysoki poziom. A tego nie da się pogodzić. W rezultacie intelektualiści nie są nawet w stanie podyktować władzy swoją agendę, swój „porządek dzienny” i są zmuszeni przyjmować te założenia, które dyktuje sama władza. To oznacza zaś, że elita intelektualna jest zmuszona do „obsługiwania” tego modelu rozwoju Rosji, w którym tak naprawdę nie ma dla niej miejsca. Ani teraz, ani w przyszłości.

Weźmy przykład NATO, czy też sprawę naszego stosunku do Wielkiego Głodu na Ukrainie. W przypadku NATO rosyjska intelektualna wspólnota, nawet ta jej część, która uważa siebie za liberalną i demokratyczną, posłusznie przyjęła narzucony jej przez Kreml porządek debaty: «Czy jest NATO zagrożeniem dla Rosji czy nie?» Tymczasem pytanie powinno brzmieć inaczej: „Dlaczego Rosja jako nieodłączna część europejskiej cywilizacji dotąd nie została członkiem NATO»? To jest najważniejszy problem, bowiem jeśli rozpatrujemy NATO w kategoriach cywilizacyjnego zagrożenia dla Rosji, to automatycznie na porządku dziennym staje kolejna

kwestia: kto i na jakiej podstawie światopoglądowej ma decydować o tym, co kwintesencją rosyjskiej cywilizacji?

W przypadku Wielkiego Głodu na Ukrainie sytuacja jest jeszcze ciekawsza. Progresywna rosyjska inteligencja z radością rzuciła się omawiać temat i sprzeczać między sobą, czy Wielki Głód na Ukrainie był zjawiskiem lokalnym czy też występował na całym terytorium Związku Radzieckiego tego czasu. I nikt nie zadał sobie trudu, aby publicznie zapytać, jak to jest możliwe, że jednocześnie, dzisiaj – w ramach telewizyjnego projektu: „Imię Rosja“ – Stalin, człowiek winny zbrodni przeciwko ludzkości, mógł znaleźć się wśród największych bohaterów Rosji? - To jest problem i o tym powinno się dyskutować.

Dlaczego temat głodu w Ukrainie jest podejmowany dopiero wówczas, gdy przypomnieli o nim Ukraińcy? Gdzie była dotąd rosyjska elita intelektualna, która przecież powinna wpływać na kształtowanie świadomości narodowej, określać jej ramy? – Tego jednak nie robi. Czeka, jaki będzie kolejny temat zgłoszony przez administrację prezydenta, a sama nic nie jest w stanie zaproponować. Takie podejście, jeśli jego nie zmienimy, grozi uwiązaniem intelektualnej wspólnoty w Rosji, który nieuchronnie skończy się jej samolikwidacją. Nie oszukujmy się, że gdy otrzymamy dostęp do telewizji, to wszystko zmienimy. To będzie możliwe, jeśli adekwatnie określimy nasze własne stanowisko. Bez tego wszystko pozostaje tylko złudzeniem.

Jerzy Pomianowski:

Darujcie mi, że wrócę do niektórych bardzo prostych pojęć. Mój nauczyciel, profesor Tadeusz Kotarbiński, u którego zacząłem uniwersytecką edukację, twierdził, że około 90 proc wszystkich sprzeczek i dyskusji prowokowanych jest tylko przez nieprawidłową definicję pytania, o które chodzi.

Dlatego pozwólcie mi, że przytoczę znane określenie inteligencji, które dał Ryszard Pipes, z którym miałem zaszczyt nieraz polemizować na stronach paryskiej „Kultury”. Otóż powiedział on, że inteligencja, to warstwa ludzi nie zainteresowanych materialnie w konserwacji istniejącego trybu rzeczy i reżimu. Stąd ich gotowość rozumienia konieczności zmian i ich podtrzymywania.

W Polsce przekonaliśmy się, że istnieje jeszcze prostsze wyróżnienie tego, kto jest intelektualistą. Kiedyś mówiło się u nas, że wg. milicyjnej nomenklatury intelektualności to ludzie, którzy przewencyjnie zapisywani są na pierwszych stronach list przyszłych internowanych. I tak też było, co w niczym nie przeczy temu, co powiedział Pipes.

To, co stało się w Polsce w 1980 i 1981 r, w czasie szesnastu miesięcy tzw. karnawału „Solidarności“, to było coś, o czym marzono długie dziesiątki lat, jeśli nie stulecia - od Owena, Furie i innych utopistów. Doszło do zespolenia inteligencji i czołowej elity klasy robotniczej, a co kilka lat później, w 1989 r, doprowadziło do wielkiego przełomu.

To był właśnie polski fenomen. Oto polscy intelektualniści - i to ci z najwyższej półki - obdarzeni tym, co po polsku nazywa się instynktem społecznym, kierowani poczuciem obywatelskiego obowiązku, przyjechali z Krakowa, z Warszawy, żeby pomóc strajkującym w Gdańsku robotnikom. Dzięki temu „desantowi“ intelektualistów strajk pracowników stoczni nie ograniczył się do żądań podwyżki płac, ale sformułował również żądania polityczne - między innymi zwolnienia więźniów sumienia. To była rzecz bezprzykładna. Ale być może właśnie to doprowadziło do sukcesu, który dał początek innym sukcesom w wielu innych krajach tak zwanego bloku socjalistycznego.

Mówiłem już o Kotarbińskim, ale chciałbym przyznać się wam, że pewny czas byłem słuchaczem genialnego człowieka, Aleksieja Dmitrijewicza Spieranskiego, będącego w niełasce zwolennika akademika Pawłowa. Zaczynał on swoje wykłady od ostrzeżenia – nas młodych studentów - abyśmy nie szukaliśmy sukcesów. Bo – jak mówił - eksperyment niepowodzenia przynosi niekiedy wyniki o wiele pożyteczniejsze dla nauki i dla postępu, aniżeli wiele udanych doświadczeń. I oto takie doświadczenie, które potwierdza znaczenie inteligencji - paradoksalnie zafundowała nam praktyka stalinowskiego ZSRR. Była to próba likwidacji inteligencji, poprzez jej przekształcenie w tak zwanych wąskich fachowców. Próba, która skończyła się tym, że Związek Radziecki znalazł się daleko w tyle za państwami Zachodu. Nawet w obszarze obronnym.

To zjednoczenie inteligencji i klasy robotniczej, jeśli mówić staroświeckim marksistowskim językiem, dość szybko się jednak skończyło. Głównie z powodu lekkomyślnych wysiłków klasycznych inteligentów. Co więcej, moim zdaniem, wszystkie albo prawie wszystkie nasze trudności, które Polska teraz przeżywa, są właśnie tego skutkiem.

Nie tak dawno bracia Kaczyńscy, których partia «Prawo i Sprawiedliwość» wygrała poprzednie wybory, próbowali powtórzyć - choć innym sposobem – to radzieckie doświadczenie i usłowali rządzić bez inteligencji i bez tego humanistycznego czynnika, który odróżnia tę warstwę od wszystkich innych warstw, które zajmują się fachową pracą umysłową, na przykład, urzędników.

Jarosław Kaczyński, człowiek skądinąd bardzo inteligentny, powiedział: «my nie jesteśmy partią anti-intelektualistów. Tylko w pewnej chwili doszliśmy do konkluzji, że brakuje nam masowego poparcia dla tych zmian, które uważamy za absolutnie potrzebne. I dlatego zwróciliśmy się do mas po to, żeby mieć większość w społeczeństwie i w Parlamencie».

Jak wam, na pewno, wiadomo partia braci Kaczyńskich zwróciła się do najbardziej zacofanych warstw społeczeństwa, które oczywiście nie ponoszą żadnej winy za swoje zacofanie, ale które były jawnie antyintelektualne i które inteligentów nie cierpią, nie znoszą. I dlatego polityka tej partii w końcu poniosła fiasko. Rządy Kaczyńskich skończyły nowymi, przyspieszonymi wyborami, które oni przegrali. Co przy tym istotne: ponieśli porażkę nie dlatego, że masły głosowały przeciw im, ale dlatego, że inteligenci, a zwłaszcza inteligentna polska młodzież – postanowiła pójść na wybory i głosować, czego do tej pory nie robiła. I to oni, a nie wsparcie mas doprowadziło do tego, że partia inteligentnych braci Kaczyńskich przegrała. Spodziewam się nieodwołanie, chociaż moja nadzieja jest chwiejna.

W historii to nie był pierwszy przypadek, kiedy próbowano rządzić bez wykształconej i kierowanej poczuciem obywatelskim warstwy społeczeństwa. Przypomnę tylko wypadek upadek cywilizacji Inków w Ameryce Południowej. Hiszpańscy najeźdźcy zniszczyli intelektualną elitę tego narodu. I chociaż naród pozostał przy swoich kulturowych i religijnych tradycjach, ale już nigdy nie podniósł się z kolan.

Przypomnę też, że niemieccy okupanci krótko po zajęciu Krakowa zebrali profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego i wszystkich albo prawie wszystkich zesłali do obozów zagłady. To samo zrobiono w stolicy Galicji - we Lwowie. Profesorów Uniwersytetu Lwowskiego, z Boyem-Żeleńskim na czele – rozstrzelano.

Wszystko to mówię tylko po to, aby przypomnieć, że inteligencja to nie relikwiny przeszłości, to enzym i początek przyszłości. I dowód ten mamy w Europie – w Finlandii, a na Dalekim Wschodzie – w Japonii. To kraje, które nie mają żadnych naturalnych surowców, ropy naftowej,

ale które postawiły na inwestycje w obszarze edukacji i nauki. Stąd też moje hasło, z którym się do was zwracam: „Okularnicy łączcie się! Bardzo proszę!”

Emil Pain:

Igor Klamkin już sformułował temat mojego wystąpienia. Powiedział, że rozmowa będzie dotyczyć tego, na ile - w pewnych okolicznościach historyczno-kulturalnych - intelektualista może być wolny. Co więcej, już otrzymaliśmy odpowiedź na to jego pytanie, kiedy on konkretyzował i powiedział: «a czy w Rosji może stać się to, co stało się w Polsce?» - I zaraz, w żartobliwej formie, odpowiadał w sposób tak charakterystyczny dla naszych czasów: „tak, jeśli zastąpić rosyjskich obywateli polskimi”. Nie rozumiem tylko jednego, dlaczego ci intelektualiści, którzy chcieli by żyć, jak w Polsce, tak długo czekają. Czekają na coś niemożliwego – przecież zmiana ludności w ogóle nie wchodzi w grę.

Historyk Aleksander Janow, oceniając dzisiejszy stan rosyjskiej myśli liberalnej, doszedł do smutnych wniosków. Pisze: «Liberałom tylko się wydaje, że stawiają opór inwazji nowych feudałów, podczas gdy tak naprawdę oni już się poddali, ponieważ niezauważalnie dla siebie przejęli sposób wysławiania się nowego nieprzyjaciela». W pełni się z tym zgadzam.

W ubiegłym tygodniu wróciłem ze spotkania rosyjskich i gruzińskich ekspertów. Omawialiśmy przyczyny ostatniego konfliktu kaukaskiego i drogi wyjścia z niego. Jeden z rosyjskich uczestników tego spotkania – bardzo przeze mnie szanowany, zdeklarowany liberał i demokrat – tak oto objaśniał przyczyny odmienności demokratycznych procesów Rosji i Gruzji. Mówił: «W Gruzji, w czasach carskiego imperium, miała ona najwyższy odsetek ludności szlacheckiego pochodzenia, podczas gdy w Rosji był najwyższy udział chłopów pańszczyźnianych». Z tego wynikało, że przeznaczeniem Gruzji jest rewolucja, żądanie zmian, opór i sprzeciw wobec zacofania, skostniałości. W Rosji zaś wszystko jest odwrotnie – po prostu jesteśmy skazani na to, aby żyć w despotii.

Na pierwszy rzut oka taka teza wydaje się prawdziwa. W Gruzji, rewolucje i przewroty rzeczywiście zdarzają się tak często, jak u nas deszcz pada. Ale potem zacząłem się zastanawiać. Przecież w Polsce i w Japonii, z jej samurajami, odsetek szlachty był podobny, a jednak z niczym podobnym nie mamy tam do czynienia. Okazuje się więc, że jeden i ten że czynnik, jedna i ta sama okoliczność, będąc zlepiona z mnóstwa innych, może dawać zupełnie różne rezultaty. Ta prosta myśl powinna być zrozumiała jeszcze ze szkolnej ławy. Ale nie jest.

Ważne jest też coś innego – to, że wszystko co mówimy, także na tej konferencji jest nie tylko wyrokiem naszej intelektualnej myśli, ale także jest znakiem czasu, w którym żyjemy. I pora ta nazywa się: impas. Czym bowiem jest impas? - Impas to taka sytuacja, w której władza nie chce, a opozycja nie może i nie wie, jak żyć po nowemu. W takich warunkach i władza, i opozycja odwołują się do tych samych dogmatów, o historycznym uwarunkowaniu „rosyjskiej drogi i jej fatalnej nieuchronności“, z pomocą których usprawiedliwia się powrót do carskich form rządzenia, a wszystko to nazywa się suwerenną demokracją.

No, bo co zrobisz? – Pytają i dodają: - Tradycja u narodu taka. Kultura – to nasz los. Nam Bóg kazał być Rosjanami. – To wszystko cytaty z podstawowego wykładu przedstawiciela Kremla: Władysława Surkowa. W wykładzie tym nasz nowy, nie wiem, Żdanow, albo Susłow, opierając się na naszego nowego Karola Marksa i filozofa Iwana Iljina - określa, czym mianowicie jest kultura; kultura, która wyznacza wieczne właściwości ustroju politycznego. W jego ujęciu, w rosyjskim przypadku, to scentralizowana, personalistyczna władza, pozbawiona innych państwowych instytucji. Tak było i tak będzie.

W rozważaniach ideologów nowego wydania książki «Oficjalne narodowości i suwerenne kultury w Rosji» najbardziej błogosławione okresy jej historii były związane z despotią i z pozornym szacunkiem do silnego państwa, którego się bano. I odwrotnie: wszystkie próby liberalizacji prowadziły do chaosu, nawałnic społecznych.

Tyle, że nie wszystko co podobne jest do prawdy – jest nią rzeczywiście. Bo – można zapytać – co w takim razie jest przyczyną, a co skutkiem? I kto w warunkach rozkwitu będzie żądał zmian? – Niby proste i oczywiste. Ale kiedy to samo silne państwo z hukiem wpadało do kałuży, kiedy ogromny kraj, największy w Europie i z największą armią – kraj, który przed chwilą wygrał wojnę napoleońską, oddawał Sewastopol brytyjskiemu korpusowi ekspedycyjnemu, który nadpłynął, diabeł wie, skąd, na kilku statkach - wtedy skrobano się po głowie i dekretowano zmiany. Ponieważ jednak zmiany zaczynała władza, więc nie za bardzo chciała je rozwijać. Dla niej najważniejsze było, żeby strzelb wyciorami nie czyścić, a dalej już wszystko pójdzie. Zwyczajnie, przez taką błahostkę, jak wycior i strzelby zdarzało się coś zmieniać i w polityce, ale nie za bardzo. Tak, by nie zmącić tego naszego tradycyjnego modelu państwa i władzy.

Liberałowie z gniewem temu zaprzeczają, ale jednocześnie bardzo chętnie przyjmują ten sam mit, tyle że w innym opakowaniu, jako historię cywilizacji tysiącletniego niewolnictwa. I jakaż tu walka? Jedne mówią o tych uwarunkowaniach z radością, inne z żalem. Szczerym albo sztucznym, ale efekt jest jeden i ten sam: nie wychylaj się, siedź cicho, przystosowuj się. Oto powstaje nowa partia «Słuszna sprawa», stworzona bezpośrednio z inicjatywy Kreml. Jej liderzy wprost i uczciwie oświadczają: «Tak, pogodziliśmy się z Kremlem. Będziemy współpracować z szachrajami, ale jednocześnie będziemy walczyć za demokrację do utraty tchu». – Pytanie tylko, czy jest to możliwe, czy może się udać?

No cóż kiedy pojawiają się oznaki nadciągającej nawałnicy, wtedy pojawia się pisarz Maksim Gorki, który poetycko śławi zapowiedź burzy, jako zwiastuna rewolucji. Potem sytuacja stabilizuje się i zaczyna się czas silnego państwa. I znów zjawia się Maksim Gorki, ale już w roli Prezesa Związku Pisarzy. Mówi już jednak co innego: jakie tam nawałnice, to już historia, teraz to przeszłość. Partia dała nam wszystko, odebrałszy tylko jedno prawo - pisać źle. Więc nie można nadużywać zaufania i trzeba się przystosować.

To jasne, że czas formuje popyt na idee, on zaś określa popyt na ich nosicieli. To tłumaczy, dlaczego w dzisiejszej Rosji nie ma zapotrzebowania na demokrację, ale jest popyt na paternalizm i jego intelektualnych obrońców. Z jedną jeszcze uwagą: jeśli mówimy dziś o intelektualistach, to mamy na myśli nie tylko ludzi, którzy zarabiają na życie pracą umysłową pracą, ale przede wszystkim ludzi twórczych. Pytanie jednak: jest twórczość?

Według tego, co mówił mój kolega Jerzy Pomianowski – twórczość to pragnienie zmian, pragnienie czegoś nowego, niechby nawet tworzonego z materiałów tradycyjnych, ale jednak lepszego. To jest to, co wyróżnia intelektualistów. Właśnie owo pragnienie zmian. Powiem więcej, gdyby nie było takich ludzi, nie było by ani Kopernika, ani Galileusza, nie było by „Solidarności“, ani mojego przyjaciela Adama Michnika, który w czasach, kiedy warto było się przystosować, jednak tego nie zrobił.

Oczywiście możemy tu mówić o różnych właściwościach historyczno- kulturowych, dzielących Polskę i Rosję. Takie różnice rzeczywiście istnieją. Ale jednocześnie, prowadząc badania socjologiczne nad problemami wielokulturowości, ku swojemu zdziwieniu stwierdziłem, że podobieństwo między Rosją i Polską jest większe, niż sądziłem. Oba kraje zajmują jedno z ostatnich miejsc w Europie, jeśli chodzi o szacunek ludzi dla prawa i władzy. A co się tyczy

poszanowania dla Parlamentu, to Polska tu nawet przoduje. Więc jednak coś nas łączy. Ale jest i odmienność. Jedna, malutka, ale – moim zdaniem - niezwykle istotna.

Z badań rosyjskich i polskich Instytutów Socjologii wynika, iż społeczeństwa obu krajów zupełnie inaczej określają krąg osób, które uważają za bliskie. W Polsce to nie tylko rodzina, Polska, ale i Europa. Tymczasem Rosjanie określają krąg „swoich“ zupełnie inaczej: Ten krąg ogranicza się do Rosji i w najlepszym razie do Wspólnoty Niepodległych Państw, ale tylko dlatego, że to też duża Rosja i oni kiedyś do nas wrócą. Mówiąc inaczej: jesteśmy skoncentrowani na sobie, a świat zewnętrzny postrzegamy głównie, jako zagrożenie, opisywane w kategorii powszechnej rusofobii. Wszyscy nas nienawidzą i nie szanują...

W tym sensie, mojemu przyjacielowi Adamowi sto razy łatwiej było robić swoją rewolucję i coś stworzyć, ponieważ mógł korzystać z mechanizmów, które w Rosji nie funkcjonują. W Polsce była silna, historycznie uwarunkowana chęć ucieczki z Imperium i wejścia do Europy, która jak matka ich obroni i uratuje od nieszczęścia. W Rosji niczego takiego nie było i nie ma. Rosja jest jak wahadło i wszystko w niej zmienia się bardzo szybko.

W 1991 roku, 67 proc. pytanym Rosjan uważało, że socjalizm zawiódł nas do ślepej uliczki i że nasza przyszłość, nasz kierunek – to Zachód. Ale te nastroje trwały krótko, zaledwie dwa lata, dopóki po cichu nie zaczęto mówić: „socjalizm nie był taki zły, a Zachód niezbyt do nas pasuje». Takich opinii było coraz więcej i pojawili się również ci, którzy chcieli i potrafili to wykorzystać w swoich celach politycznych. Co więcej świadomie konstruowali taką mentalność.

Dlaczego to wszystko mówię? – Otóż, jeśli intelektualista chce być intelektualistą, to on powinien: po pierwsze – znać природę tego zjawiska i rozumieć, że ono jest ruchome mobilne. I współczesna kulturologia wychodzi z tego, że rola konstruktywnego czynnika - w odróżnieniu od bezpośrednio promieniującego - mocno i mocno rośnie.

Po drugie, jestem absolutnie pewny, że niedługo znów nastaną czasy, kiedy będą potrzebne zmiany. Mam wątpliwości natomiast, czy do tego czasu nasi intelektualiści będą przygotowani na to, aby przedstawić własną wizję takich zmian, swój projekt i swoją receptę. Receptę, która – po pierwsze - będzie naprawdę znacząca i możliwa do przyjęcia dla społeczeństwa, a po drugie - będzie rzeczywiście lokalnego pochodzenia, ponieważ powinna być odczuwana, jako specyficznie narodowa, pasująca do Rosji.

Kirill Rogow:

Kiedy Igor Kliamkin zadzwonił do mnie i zaprosił do udziału w tym Okrągłym Stole, przysłała mi do głowy jedna myśl, która wydaje mi się ważną. Otóż rola inteligencji w historycznych losach Rosji ostatnich trzydziestu lat wygląda dziś zupełnie inaczej, niż w końcu lat 90. Wtedy wydawało się, że inteligencja to warstwa wymierająca, a jej rola w organizowaniu ogólnonarodowej dyskusji, budowania ogólnonarodowego systemu wartości, za które nie wolno wychodzić - przechodzi do biznesu, jako nowej klasy przywódczej. Przy całym szacunku do inteligencji i do jej kluczowej roli w demontażu systemu komunistycznego, uważano, że jej czas przeminął.

Ta opinia wydaje się już dziś nieaktualna. I przede wszystkim dlatego, że biznes okazał się niezdolny do wypełniania tych funkcji, które dotąd spełniała inteligencja. W związku z tym chciałbym wrócić się do niektórych problemów z początku lat 90.

Tu - dwie refleksje. Pierwszą można byłoby zatytułować: «Demokracja przeciw rynkowi». I tak 9 stycznia 1992 r, siedem dni potem, jak w Rosji są uwolniono ceny, Jurij Burtin, znany krytyk

literacki i jedna z kluczowych figur opozycji demokratycznej opublikował w «Niezawisimoj Gazecie» znaczący artykuł. Ostro skrytykował liberalizację cen i zaproponował wprowadzenie systemu kartkowego, gwarantującego sprzedaż żywności dla ludności po możliwie najniższych cenach. Logika jego rozumowania była następująca: nie można sobie pozwolić na liberalizację cen, bo to będzie równoznaczne z postawieniem krzyża na demokracji. Dojdzie do wybuchu masowego niezadowolenia, które zostanie wykorzystane przez przeciwników demokracji. Dlatego – pisał Burtin – należy wyhamować przekształcenia ekonomiczne i posłuchać się głosu większości.

W rezultacie, dwa tygodnie później, partia reformatorów „Demokrateskaja Rossija“ podzieliła się na dwa obozy. Jedni poparli władzę i liberalizację cen, a drudzy - bardziej radykalni - ogłosili, że trzeba pozostać z większością i – dla ratowania demokracji - odrzucić liberalne reformy. Jak stwierdzono w programowym artykule «Reformy nie muszą iść kosztem większości», a spór o to zniszczył ostatecznie demokratyczny konsensus z lat 1990-1991. Do dziś dzieli on obóz demokratycznej inteligencji, która stworzyła platformę rewolucji z 1991 r. Jedni, bronili reform, inni byli zwolennikami racji Grigorija Jawlińskiego, który dowodził, że nie można niesprawiedliwości systemu sowieckiego zastępować niesprawiedliwością systemu rynkowego. W ten sposób w jednym obozie mamy dwie ścierające się opcje.

W swoim czasie, gdy dojrzewała demokratyczna rewolucja wydawało się, że kiedy dyktatura KPZR zostanie obalona, te wszystkie bariery na drodze rozwoju zostaną zlikwidowane i dalej już pójdziemy wprost do świata pomyślności. Początkowo takie podejście było bardzo produktywne, bo zapewniało masowe wsparcie dla ruchu demokratycznego. Jednocześnie jednak tworzyło fundamentalne problemy na kolejnym etapie, kiedy cele przekształceń ekonomicznych i cele polityczne okazały się nie tylko różnymi, ale i nierzadko przeciwstawnymi. Co więcej, zaczęła ujawniać się zasadnicza różnica interesów: prawa polityczne potrzebne były jednej grupie, a prawa gospodarcze - innej. Ci, którzy otrzymali prawa gospodarcze cieszyli się z tego i przeważnie na manifestacje nie chodzili. Wybory ich nie interesowały i woleli wszystkie swoje sprawy załatwiać przy pomocy łapówek. Z kolei prawami politycznymi interesowali, ci którzy w jakiś sposób przegrali i nie potrafili się odnaleźć w warunkach gospodarki rynkowej. Oni nadal chodzili na wiece i demonstracje, interesowali się problemami politycznymi. Słowem mieliśmy do czynienia z sytuacją: demokracja przeciw rynkowi.

Ale możliwy jest też i inny wariant – to rynek działa przeciw demokracji. Jeśli przyjrzeć się argumentacji tych, którzy na początku lat 90. poparli władzę i liberalne reformy ekonomiczne, to okaże się, że logika była w istocie taka sama. Przypomnijmy wybory 1993 r, w wyniku których w parlamencie powstała opozycyjną większość. Nie doprowadziło to jednak do zmian w rządzie, co w konsekwencji spowodowało, że w oczach ludności idea demokratycznych wyborów uległa dewaluacji. Mieliśmy więc z jednej strony logikę Jawlińskiego, a z drugiej – Czubajsa. Postępując zgodnie z tą pierwszą, należało odpuścić i oddać władzę wykonawczą, ale – jak ostrzegwał Czubajs - to doprowadziłoby do zwycięstwa komunistów, którzy zlikwidują wybory i Rosja znów na długo pożegna się z demokracją. Dlatego nie należy zmieniać władzy i trzeba kontynuować reformy ekonomiczne. W rezultacie narodzi się klasa właścicieli, którzy poprą demokrację, a wtedy będzie już ona czymś nieodwracalnym.

Ta druga opcja zwyciężyła. Poszukiwania rosyjskiego Pinocheta – którym zdaniem części obozu liberalnego mógł być Putin – były kontynuacją tej linii. Takie podejście prowadzi jednak do sytuacji, w której pod hasłem rozwoju, rynku, w imię wspólnego dobra itp nazbyt łatwo upraszcza się, albo wręcz zawiesza procedury demokratyczne. W ten sposób już na początku lat 90. ukształtował się swego antydemokratyczny konsensus.

Inna sprawa, że ludzie, którzy głosili podobne poglądy, zresztą, jak i większość rosyjskiego społeczeństwa - nigdy nie uważali się za antydemokratów. Zawsze mówili, że demokracja to cel i sprawa przyszłości, ale okresowo, aby stworzyć podstawy dla takiej demokratycznej przyszłości można ciut-ciut uprościć procedury.

I o to właśnie chodzi. W Rosji nie ma problemu odmowy demokracji, jako pewnego ideologicznego wyboru. Zapotrzebowanie na nią ciągle jest też duże. Jest natomiast problem z określeniem, co jest demokracją, a co nią nie jest.

W przypadku Rosji, myślę że mamy trzy konkurujące ze sobą sposoby pojmowania demokracji, jakie ukształtowały się w okresie ostatniego dwudziestolecia.

Pierwsza koncepcja - to priorytet praw człowieka. Zdaniem jej zwolenników, reżim, który będzie miał wszelkie inne atrybuty demokracji, ale nie będzie spełniał tego podstawowego warunku w pełnym zakresie – nie może być uznany za demokratyczny.

Druga koncepcja - stawia na pierwszym miejscu się pojęcie o konkurencji. Takie podejście najbliższe jest ludziom biznesu i przedstawicielom różnych elit. Ich zdaniem, konkurencja to przede wszystkim współzawodnictwo pewnych grup w walce o władzę.

Wreszcie, trzecia koncepcja - niewątpliwie najbardziej popularna, ale też najbardziej archaiczna, to przedstawienie demokracji jak celu i wspólnego dobra. Rząd, który kieruje się tym celem i stara się go osiągnąć, który uwzględnia interesy większości - jak na przykład, rząd Władimira Putina - jest niewątpliwie demokratyczny. Dlatego też można mu darować naruszanie interesów mniejszości, nie przestrzeganie praw człowieka, a nawet brak wolnych wyborów, to znaczy konkurencji.

Jak powiedziałem, ta ostatnia koncepcja jest dziś najbardziej rozpowszechniona. Ale dlatego też konieczne jest wznowienie debaty o tym czym jest i czym powinna być demokracja. I to zadanie spada na elitę intelektualną, która powinna zaproponować nowe pojęcie demokracji, a także wspólny system wartości, na bazie którego można byłoby budować konsensus społeczny. Wówczas będzie szansa na powrót demokracji.